Nr. 6-7 Numer podwójny Rok IV

POLACY ZAGRANICĄ



Numer specjalnie poświęcony zagadnieniom morskim

RADA ORGANIZACYJNA POLAKÓW Z ZAGRANICY

wyłoniona na I-szym Zjeździe Polaków z Zagranicy w roku 1929

Prezes Rady
Władysław Raczkiewicz
Marszałek Senatu

Zastępca Prezesa Rady
Dr. Juljusz Szymański
Profesor Uniwersytetu Stefana Batorego

Członkowie Prezydjum Rady (wiceprezesi i ich zastępcy): *M. Fularski*, poseł *P. Gettel*. szef dr. *B. Hełczyński*, prezes dr. *J. Kaczmarek*, prezes *J. Olejniczak*, dyr. *St. J. Paprocki*, sekretarz gen. *Wł. Przybyliński*, prezes *St. Rejer*, prezes *J. Romaszkiewicz*, red. *B. Srocki*, poseł dr. *M. Szawleski St. Szczepaniak*, cenzor *Fr. Ks. Świetlik*, dyr. *St. Szwedowski*.

Dyrektor Biura Rady: *Stefan Lenartowicz*.

Biuro Rady Organizacyjnej — *Warszawa, Al. Ujazdowskie 37 m. 7. Tel. 8.75-79.*

Zadania Rady Organizacyjnej Polaków z Zagranicy *)

a) Wykonywanie uchwał Zjazdu

b) opracowywanie i przygotowywanie strony organizacyjnej Zjazdów Polaków z Zagranicy

c) systematyczne zbieranie wszelkich danych oraz informacyj o życiu i potrzebach Polaków z Zagranicy, celem wykorzystania ich w ich praktycznych poczynaniach

d) ułatwianie, wzmacnianie i nawiązywanie kontaktu Polonji zagranicznej z władzami publicznemi i organizacjami społecznemi w kraju

e) inicjowanie i współdziałanie w nawiązywaniu bezpośredniej współpracy między poszczególnemi polskiemi środowiskami zagranicą.

f) przyczynianie się do popularyzacji i wzmożenia prac organizacyj społecznych, istniejących w Polsce dla współdziałania i pomocy Polakom zagranicznym oraz dążenie do koordynacji wysiłków w tej mierze

g) ułatwianie współpracy gospodarczej polskich środowisk zagranicznych między sobą i Macierzą.

*) Wyjątek ze statutu

ROK IV Czerwiec-Lipiec 1933 r. Nr. 6-7

POLACY ZAGRANICĄ

ORGAN RADY ORGANIZACYJNEJ POLAKÓW Z ZAGRANICY

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM SPOŁECZNYM, KULTURALNYM I GOSPODARCZYM.

RODACY!

Za kilka tygodni cała Polska obchodzić będzie uroczyście **Święto Morza.** *We wszystkich wsiach, miasteczkach i miastach polskich nieprzeliczone tłumy rodaków manifestować będą swoje niezłomne przywiązanie do morza ojczystego, do Gdyni — tej chluby twórczego ducha polskiego i wiernego ludu pomorskiego, który ani w złej, ani w dobrej doli, nie przestał nigdy dokumentować swojego przywiązania do języka i tradycyj narodowych. Miarą doniosłości i wagi tego Święta jest fakt, że protektorat nad niem objęli najwyżsi dostojnicy polscy, a mianowicie:*

Pan Prezydent Rzeczypospolitej — Ignacy Mościcki,
Pierwszy Marszałek Polski — Józef Piłsudski,
Prymas Polski — Ks. Kardynał Augustyn Hlond.

Do Komitetu Honorowego weszli członkowie rządu polskiego oraz przedstawiciele wszystkich poważniejszych organizacyj społecznych z Radą Organizacyjną Polaków z Zagranicy i Ligą Morską i Kolonialną na czele.

W dniu Święta Morza Polska zademonstruje w sposób pełen powagi i niezłomnej stanowczości, że niema takiej siły, którąby ją mogła odepchnąć od morza, którąby wyrwała z jej żywego ciała Pomorze — te płuca i krtań Polski. W dniu Święta Morza cała Polska zawoła potężnym głosem:

Frontem do morza! Kto mówi o rewizji granic, o odebraniu nam Pomorza, ten mówi o wojnie...

W dniu Święta Morza zapłoną o północnej godzinie potężne stosy we wszystkich zakątkach „starego kraju". Niezmierne masy naszych rodaków złożą przy ich krwawem świetle uroczystą przysięgę, że nie zezwolą nigdy, aby choć jedna piędź wybrzeża morskiego wpadła w ręce wroga.

Ale dzień Święta Morza nie będzie tylko dniem miłości do morza i protestu przeciw wrażym zakusom. Będzie on przedewszystkiem **dniem radości.** *Naród Polski pobiegnie myślą na piaszczyste wy-*

brzeża bałtyckie i zobaczy z zadowoleniem, jak wielką drogę uszedł od chwili, kiedy wziął w swoje władanie ten skrawek brzegu morskiego. Ujrzy ile wysiłku, energji i przemyślności naszej zużytych zostało dla gospodarczego związania Polski z morzem, a za jego pośrednictwem — i z najdalszemi krańcami świata. Ujrzy wspaniałe rezultaty tej mądrej i płodnej pracy.

W *dniu Święta Morza nie może zabraknąć i Polonji Zagranicznej.*

Rodacy! Komitet Wykonawczy Święta Morza, Rada Organizacyjna Polaków z Zagranicy i Liga Morska i Kolonjalna wzywają Was do jaknajżywszego udziału w tej wielkiej uroczystości narodowej. Nikogo nie może zabraknąć w chwili, gdy Macierz, Ojczyzna Waszych Ojców i Dziadów, woła Was do apelu, czeka na Wasz odzew męski i stanowczy.

Niech manifestują swoją miłość do morza i Pomorza górnicy nasi z Pennsylwanji, niech płoną stosy sobótkowe w mrokach puszcz dziewiczych nad brzegami Ivahy w Paranie, niech biją ku niebu majestatyczne dźwięki „Roty" w pampasach Argentyny, niech przysięga wierność polskiemu morzu farmer polski, zagrzebany w puszczach Kanady, niech wsłuchują się przy głośnikach radjowych Polacy z terenów mniejszościowych w wieści, płynące na falach eteru ze „starego kraju".

Wielu z Was, drodzy Rodacy z obczyzny, wędrowało na wychodźtwo przez morza dalekie.. Wówczas przeklinaliście morze. **Dzieliło** *Was ono od Ojczyzny,* **odsuwało** *przestrzenią niezmierzoną od Polski.*

Dzisiaj, kiedy bandera polska znów powiewa nad zielonemi falami mórz i oceanów, morze nie dzieli już Was od „starego kraju", ale łączy z niem. Możecie je kochać całem sercem i duszą.

Rodacy z obczyzny! Woła Was polskie morze.
Niech żyje Święto Morza!
Niech żyje Polska!
Niech żyje Wychodźtwo!
Niech żyje Gdynia — chluba Narodu Polskiego!

Komitet Wykonawczy Święta Morza.
Rada Organizacyjna Polaków z Zagranicy.
Liga Morska i Kolonjalna.

Święto Morza — to Święto Prawa i Siły.

Program „Święta Morza” dla środowisk polskich zagranicą

W środę dnia 24. VI. 1933 r. Jako zapoczątkowanie przygotowawcze do obchodu „Święta Morza” we wszystkich miejscowościach, o ile na to warunki pozwolą, powinny być zorganizowane uroczystości wianków. Organizacje i poszczególne osoby, przygotowujące wianki, w pochodzie udają się na brzeg rzeki, morza, ewent. jeziora bądź stawu, gdzie zostają puszczone na wodę tradycyjne wianki. Pożądane jest zapalenie ognisk sobótkowych, koncert orkiestry, śpiew chórów i ewent. atrakcje, zaprojektowane przez czynniki miejscowe, zgodnie z tamtejszemi możliwościami i zwyczajami.

W środę dnia 28. VI. We wszystkich szkołach polskich winny być wygłoszone przez nauczycieli odczyty i pogadanki o doniosłości posiadania przez Polskę własnego morza. Zaleca się pozatem zorganizowanie w szkołach specjalnych uroczystości dla jak najsilniejszego podkreślenia doniosłości obchodu.

Polska prasa zagraniczna na ten dzień bądź na następny przygotowuje specjalne numery, poświęcone sprawom dostępu do morza, Ziemi Pomorskiej, zagadnieniom rewizjonistycznym, znaczeniu Gdyni i t. p. Pozatem winny być dostarczone materjały do prasy obcej miejscowej, w celu zapoznania całej opinji danego państwa ze znaczeniem dostępu Polski do morza.

We czwartek dnia 29.VI. W godzinach rannych uroczyste nabożeństwo we wszystkich miejscowościach, gdzie ludność polska w większej gromadzie zamieszkuje. Na nabożeństwie powinno być wygłoszone odpowiednie kazanie. Po skończonych nabożeństwach organizowane być winny pochody, w których udział musi wziąć cała ludność polska, a więc: młodzież szkolna, organizacje młodzieży, harcerstwo, strzelcy, stowarzyszenia sportowe, organizacje starszego społeczeństwa i najliczniejsze masy ludności polskiej. Organizacje winny stawić się ze wszystkiemi sztandarami polskiemi oraz ze specjalnie przygotowanemi transparentami z napisami w języku polskim i miejscowym, przedstawiającemi najważniejsze hasła w tej dziedzinie. Pochód winien dojść do miejsca, w którem odbywać się powinno zgromadzenie ludowe, wiec bądź akademja. Uroczystość ta może odbyć się w jednej z większych sal, bądź też, o ile warunki na to pozwolą, pod gołem niebem. Pożądane jest zaproszenie na tę uroczystość możliwie największej ilości gości obcych, miejscowych obywateli, działaczy, władz i t. d.

Program akademji.

1) Zagajenie — przez prezesa centralnej organizacji bądź z ramienia tejże,
2) Ewent. przemówienie władz,
3) Występ orkiestry bądź chóru miejscowego,
4) Odczyt o znaczeniu morza dla Polski,
5) Deklamacja utworów, związanych z morzem,
6) Ponowny występ chóru, orkiestry i t. d.

Wieczorem tegoż dnia wszystkie organizacje zwołują walne zebrania, na których po odpowiednich przemówieniach zostają uchwalone rezolucje, dotyczące zagadnienia morza, składane podpisy, zaopatrzone pieczęciami. O ile możności, zebrania te również urozmaicone są stroną artystyczną.

Strona organizacyjna.

1) Przeprowadzenie obchodu powierzone jest naczelnym organizacjom terenowym. (w Stanach Zjednoczonych — największym tamtejszym organizacjom, ze Związkiem Narodowym Polskim i Zjednoczeniem Polskiem Rzymsko-Katolickiem na czele). Organizacje te wytwarzają specjalny naczelny komitet dla organizacji obchodu, do składu którego powinny być zaproszone najwybitniejsze osobistości i przedstawiciele największych organizacyj społecznych.
2) Naczelny Komitet obchodów terenowych rozsyła komunikaty i okólniki do poszczególnych miejscowości, zamieszkałych przez Polaków, dla poinformowania, w jaki sposób organizacja obchodu winna być przeprowadzona.
3) Wszelkie materjały pomocnicze dla zorganizowania obchodów będą nadesłane do naczelnych komitetów obchodowych, które ze swej strony roześlą je do poszczególnych miejscowości.
4) Uchwalone rezolucje wraz z przebiegiem uroczystości nadsyłane będą do miejscowych naczelnych komitetów, a te z kolei przesyłać je będą do Rady Organizacyjnej Polaków z Zagranicy — dla doręczenia Lidze Morskiej i Kolonjalnej.
5) W miejscowościach, gdzie istnieją oddziały Ligi Morskiej i Kolonjalnej, pożądane jest, ażeby strona techniczna i organizacyjna powierzona była do przeprowadzenia przedewszystkiem tym oddziałom.

U w a g i.

1) Gdyby z jakichkolwiek względów obchód główny uroczystości nie mógł się odbyć w dniu 29 czerwca r. b. — okresem, przeznaczonym dla organizacji obchodów, jest czas od 24 czerwca do 2 lipca r. b.
2) Pożądane jest bardzo, ażeby organizacja obchodów zdołała pociągnąć i zainteresować najszersze warstwy społeczeństw obcych, wśród których Polacy zamieszkują. Na tę stronę organizacji obchodów i na ten efekt powinno się położyć specjalny nacisk.

Morze i kolonje — to przyszłość Polski!

Morze a wychodźtwo

Jest rzeczą jasną, że morze nie dzieli, lecz łączy narody. Niema na niem granic, gór, rzek szerokich, czy innych przeszkód. Droga leży przed okrętem wolna, poprzez bezkres Oceanów.

Odrazu żywy przykład. Czy mógłby kto pomyśleć o transporcie węgla polskiego do Włoch Południowych, do krajów Skandynawskich, do Francji nawet, koleją. Bezwzględnie taka impreza nie kalkulowałaby się zupełnie. A tymczasem drogą wodną, dzięki masowemu, taniemu przewozowi, dzięki owej bezpośredniości, omijającej wszelkie granice polityczne i geograficzne, polski węgiel zdobył sobie nietylko te rynki, ale nawet Afrykę Północną.

Wyobraźmy sobie teraz, że nie posiadalibyśmy własnego portu i nie posiadalibyśmy floty handlowej. Cały wywóz węgla nie mógłby mieć wówczas miejsca, a zatem nietylko, że stracilibyśmy zysk stąd płynący, ale jeszcze zmuszeni bylibyśmy unieruchomić produkcję. Stąd wzrost bezrobocia i upadek gospodarczy kraju.

W grę wchodzi tu zresztą nietylko węgiel, jako produkt masowy, ale też i inne nasze surowce, objekty lub towary eksportowe. A więc drzewo, nafta, sól, cukier, masło, jaja, bekony, cement, lokomotywy i t. d. (Dwanaście tych ostatnich powędrowało morzem z Gdyni do dalekiego Marokka). No i oczywiście wwóz, dzięki tym samym czynnikom wyzwolony z pod obcej kurateli.

Ale morze nietylko łączy narody i wiąże ze sobą ich życie gospodarcze. Łączy ono przedewszystkiem najkrótszą drogą kraj z wychodźtwem i odwrotnie. Polak na obczyźnie, dzięki morzu, ma otwartą bezpośrednią drogę do kraju, zarówno dla siebie samego, jak i dla produktów swej pracy, względnie tych towarów, którychby z kraju potrzebował. Kraj zaś w obywatelach na obczyźnie pracujących znajduje oparcie dla swej polityki morskiej, pionierów w zdobywaniu nowych rynków dla handlu i wytwórczości.

Wrogowie nasi twierdzą, że dostęp do morza jest Polsce niepotrzebny, wskazując jako przykład Szwajcarję, Węgry lub Czechosłowację. Wolny port, względnie wolna strefa w którymś z portów cudzoziemskich winna tu w zupełności wystarczyć. Możnaby do tego dodać jeszcze wolną żeglugę na którejś z rzek...

Tak rzecz wygląda pozornie. Ale ci, którzy tego dowodzą, zapominają, że Polska ma przeszło o jedną czwartą mieszkańców więcej niż wszystkie te trzy kraje razem wzięte, że, ze względu na specjalną strukturę polityczną i gospodarczą, jej obrót zagraniczny niemal w trzech czwartych odbywa się drogą morską, że kilometr krótkiej granicy morskiej przewozi 35 razy więcej od kilometra długiej granicy lądowej, że na każdym kilometrze utylitarnej granicy morskiej ciąży 2.100 km kw. zaplecza i 230.000 mieszkańców. Gdyby Francja straciła Hawr, lub Marsylję, mogłaby się posługiwać Cherbourgiem, Tulonem, Bordeaux i szeregiem innych portów. Ale Polska, mając jeden jedyny własny port, tylko tą drogą może nabrać tchu w piersi, może oddychać, a zatem żyć, pracować i prosperować.

To też tego dostępu do morza czujnie strzec musimy. Ekonomicznie i politycznie. Do tego potrzebna jest także marynarka wojenna.

Ona bowiem jest najwidoczniejszym czynnikiem siły i suwerenności państwa, ona otwiera drogę marynarce handlowej, ona stwarza korzystne przymierza, ona jest argumentem pokoju — w myśl zasady „si vis pacem—para bellum", ona sprowadza na kraj dobrobyt, powodując bezpośrednio rozwój różnych gałęzi przemysłu. Jeśli socjaliści niemieccy nie oponowali ostatnio przeciwko budowie nowych pancerników, to jedynie dlatego, że każdy okręt wojenny daje pracę i zarobek tysiącom ludzi, zarówno w czasie swej budowy, jak i później, podczas służby.

Jest jednak drugi—równie ważny argument. Oto co pisze znany historyk niemiecki, admirał von Mantey:

„Dzięki rozbudowie floty wojennej i wzrostowi potęgi morskiej Niemiec, ludność ich zwiększyła się nagle o kilka miljonów. Poczuli się bowiem Niemcami wszyscy ci, których tylko luźne nici dotąd łączyły z macierzą".

Argumentu tego użył podobno sam Bismarck, chcąc przekonać parlament niemiecki o konieczności rozbudowy floty. Motyw projektu prawa z r. 1900 brzmiał zaś:

„Kwestją żywotną dla państwa jest bezpieczeństwo rozwoju ekonomicznego, w szczególności zaś światowego handlu. Aby to osiągnąć musimy być silni, nietylko na lądzie, ale i na morzu".

Oczywiście, z pojawieniem się bandery niemieckiej za Oceanem, całe wychodźtwo niemieckie poczuło się nagle bliższe ojczyzny, pewniejsze siebie, a przedewszystkiem przestało się wynaradawiać. Emigrant niemiecki w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia czuł się mniej więcej tak, jak emigrant polski bezpośrednio przed wojną światową, względnie w pierwszych latach po wojnie: Osamotniony, zdany na łaskę obcych.

Podczas gdy Wielka Brytanja potrafiła zawsze popierać wszelkie poczynania swych na obczyźnie przebywających obywateli, za krzywdy im wyrządzone żądać zadośćuczynienia pod grozą armat pancerników,— Niemcy ówczesne, nie posiadając floty, mimo całej ich potęgi lądowej, niewiele dla własnego wychodźtwa uczynić mogły. Pionier niemiecki zdany był na własny przemysł, zupełnie tak jak pionier polski, o którego prawa doniedawna nie miał się kto upomnieć.

Z chwilą stworzenia floty, Niemcy zyskały nietylko miljony lojalnych obywateli, ale też wzrosły w dobrobycie, bo odrazu rozwinął się handel wymienny, a owi pionierzy, czując za swemi plecami tak potężne oparcie, przestali czuć się nieswojo. Pracować więc zaczęli intensywnie dla siebie, a zatem i dla kraju. Przestali być pół-niewolnikami obcego narodu, a stali się uświadomionemi i godnie państwo swoje reprezentującymi obywatelami.

To też kwestja stworzenia w Polsce odpowiedniej dla naszych warunków siły zbrojnej na morzu nie jest bynajmniej kwestją militarną o agresywnym, czy choćby nawet czysto lokalnym charakterze. Jest to kwestja nawskroś narodowa, od której zależy nasz byt i dobrobyt. I nie bogactwo narodu stanowi o jej stworzeniu, a wręcz przeciwnie, historja uczy nas, że od stworzenia floty zależy bezpieczeństwo kraju i bogactwo narodu.

Tyle co do floty wojennej. Ponieważ zaś handel idzie zawsze za banderą, więc równolegle postępować musi i rozwój marynarki handlowej. Ta ostatnia zresztą rozbudowała się u nas szybko i sprawnie, i dziś zyskała sobie prawo obywatelstwa po obu stronach Atlantyku.

Fakt znamienny, że podczas gdy wiele cudzoziemskich linji okrętowych pracuje deficytowo lub nie pracuje wcale, okręty polskie znajdują dziś nietylko frachty, ale nawet pasażerów. Trzy parowce transatlantyckie, obsługujące linję Gdynia—Ameryka — „Polonia", „Kościuszko" i „Pułaski", są stale w ruchu. Wymiana drobnicy, poczty i pasażerów między Polską a Stanami Zjednoczonymi jest wciąż ożywiona, głównie dzięki uświadomieniu obywatelskiemu i patrjotyzmowi Polonji Amerykańskiej. Ta korzystanie z obcych linij uważa za czyn niegodny dobrego Polaka, dając tem przykład zrozumienia obowiązku społecznego i własnego dobra. Bo Polak na okręcie polskim nietylko jest w domu, ale znajduje wszystko ku swojej wygodzie: troskliwą opiekę, dobre jedzenie, grzeczną obsługę, wszelkie możliwe informacje i ułatwienia w ojczystym języku. Podczas gdy na okrętach obcych często był uważany za „pasażera ostatniej klasy", narówni z murzynami czy kulisami.

Kto widział szalony entuzjazm jaki ogarnął Polonję Amerykańską z chwilą przybycia naszych okrętów do Nowego Lądu, kto uświadomił sobie, że niektórzy z tych ludzi przebyli setki i tysiące kilometrów, by tylko chwilkę jedną zabawić na cząstce ojczystej ziemi, jaką jest przecież pokład płynącego pod banderą Białego Orła okrętu,—ten zrozumiał odrazu jak ważkie znaczenie w życiu państwa i narodu ma morze, a z niem obie marynarki — wojenna i handlowa. Podróże „Iskry" (okrętu szkolnego marynarki wojennej), „Daru Pomorza" (okrętu szkolnego marynarki handlowej), regularne rejsy „Polonji", „Kościuszki" i „Pułaskiego", oraz „dzika żegluga" parowców „Żeglugi Polskiej", „Polsko-Brytyjskiego Towarzystwa Okrętowego" i innych polskich linji do brzegów Ameryki, Afryki i Azji, a także wzdłuż kontynentu europejskiego — nie mówiąc już o odwiedzinach floty wojennej w portach państw z Polską sąsiadujących,—stworzyły dla nas zupełnie odmienną konjunkturę polityczną i gospodarczą, sprawiając, że ciężkie jarzmo kryzysu światowego dźwigamy lżej od innych. A choć może nie zdajemy sobie z tego sprawy, to jednak cyfry są niezaprzeczonym dowodem, że tak jest a nie inaczej.

To też obowiązkiem każdego Polaka-Obywatela, zarówno w kraju jak i na obczyźnie, jest uznać korzyści z morza dlań płynące i dla morza tego pracować. Albowiem, jak to jeszcze w XVI wieku arcybiskup Solikowski pisał: „*Kto ma morze, a nie używa go, albo daje sobie wydzierać, wszystkie korzyści od się oddala, a wszystkie szkody na się przywodzi, z wolnego niewolnikiem się staje, z bogatego ubogim...*"

Inż. Juljan Ginsbert.

Pomorze — to płuca

i krtań Polski.

Znaczenie morza dla współpracy emigracji z Macierzą

„Miłość morza winna być źródłem, z którego czerpać będą swą moc przyszłe pokolenia Polski".

Prof. Ignacy Mościcki
Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej

Jeśli pominąć kraje przygraniczne jak Rosja, Niemcy, Czechosłowacja i t. d., gdzie ludność polska nie jest właściwie elementem napływowym, lecz autochtonicznym — to ogromna większość Polaków, zamieszkujących zagranicą, koncentruje się w krajach zamorskich. Na samym kontynencie amerykańskim mieszka dziś 4 — 4,5 miljona Polaków względnie obywateli pochodzenia polskiego, a nie brak ich również — choć w mniejszej liczbie — na pozostałych kontynentach, jak Azja, Australja i Afryka. Jest to ogromna masa ludności, któraby, zjednoczona na jednym terenie, mogła stanowić oddzielny i samodzielny organizm państwowy i gospodarczy. Niestety, rozrzucona wśród wielu obcych narodów, szczególnie jeśli chodzi o kontynent amerykański, nie reprezentuje ona dotychczas tych walorów gospodarczych i kulturalnych, któreby winna przejawiać ze względu na swą liczebność zarówno w dziedzinie współpracy z Macierzą, jak i w nowem środowisku narodowem i na terenie międzynarodowym.

Polonja zamorska — to w ogromnej większości element rolniczy i robotniczy, który wyszedłszy z ciężkich warunków życiowych w Ojczyźnie, potrafił w nowym środowisku poprawić swą sytuację materjalną i wznieść się na trochę wyższy szczebel w hierarchji społeczno-gospodarczej—ale który, niestety, nie odegrał ani nie odgrywa tej roli pionierskiej i twórczej, jaką spełniają na tychsamych terenach inne narodowości napływowe jak np. Niemcy, Włosi, Hiszpanie, Holendrzy, Szwedzi i t. d. Jedynie w Stanach Zjednoczonych pewien procent imigrantów polskich, porwany tętnem i rozmachem życia amerykańskiego, zdołał wybić się na wybitniejsze stanowiska zarówno w dziedzinie gospodarczo - finansowej, jak i społeczno-politycznej i osiągnąć pewną niezależność życiową—ale jest to procent znikomy w stosunku do tej blizko 4-miljonowej ludności polskiej względnie pochodzenia polskiego, która zamieszkuje różne części najpotężniejszego dziś mocarstwa światowego.

Znacznie gorzej przedstawia się pod tym względem sytuacja Polonji brazylijskiej, argentyńskiej, kanadyjskiej, chińskiej, australijskiej i t. d. Jeśli spotykamy w tych środowiskach imiona polskie na samodzielnych lub kierowniczych stanowiskach czy to w handlu, przemyśle i finansach, czy to w organizacjach społeczno-politycznych lub w organizacji państwowej — są to tylko nieliczne jednostki, które z powodu swego odosobnienia nie rozporządzają ani tym autorytetem ani temi wpływami, któremiby mogły dysponować, gdyby opierały się na szerszych podstawach narodowo-społecznych.

Na szczególną uwagę zasługuje jednak brak elementu polskiego w dziedzinie międzynarodowego handlu, finansów, komunikacji i innych

gałęzi międzynarodowej współpracy gospodarczej. Tutaj polska emigracja zamorska miała szeroko otwarte pole do pracy i mogła bez większych przeszkód wciskać się w różne organizacje i przedsiębiorstwa i zdobywać doświadczenie, rutynę, stanowiska, a nieraz i majątek, by je wykorzystać przy lepszej konjunkturze polityczno-narodowej dla dobra swego i kraju. Czyż w ciągu tych kilkudziesięciu lat przedwojennej emigracji zamorskiej, kiedy rozbudowywał się gmach współczesnego gospodarstwa międzynarodowego, nie było dla nas miejsca i pola do pracy w organizujących i rozrastających się wówczas firmach handlowych, okrętowych, transportowych, finansowych i t. p. w wielkich miastach i portach na różnych kontynentach globu ziemskiego? Czyż w roku 1918, kiedy odbudowywało się polskie gospodarstwo narodowe, nie powinien był istnieć sztab polskich sił fachowych, a nawet pewna liczba polskich jednostek gospodarczych, któreby, rozrzucone po wszystkich zakątkach świata, ułatwiły nawiązanie samodzielnych i bezpośrednich stosunków z resztą państw cywilizowanych i zorganizowanie współpracy międzynarodowej na takim poziomie i w takich warunkach, któreby odpowiadały potrzebom i interesom 30-miljonowego narodu? Czyż potrzebowaliśmy się uciekać do pośrednictwa zachodnio-europejskich „grosshaendlerów" i podtrzymywać utarte w okresie niewoli drogi przywozu towarów zagranicznych do Polski i towarów polskich zagranicę, by wejść na światowe rynki zakupów i rynki zbytu? Przecież przywóz produktów pochodzenia zamorskiego stanowi conajmniej połowę ogólnego przywozu towarów zagranicznych do Polski i wynosił w okresie pomyślnej konjunktury (1929) przeszło półtora miljarda złotych. Czyż w tych warunkach, reprezentując tak poważnego kontrahenta na rynku międzynarodowym, Polska nie mogła sobie pozwolić na nawiązanie bezpośrednich stosunków z krajami zamorskiemi? Czyż zamiast iść po linji najmniejszego oporu i spłacać dziesiątki miljonów złotych haraczu na rzecz zachodnio-europejskich pośredników, nie moglibyśmy byli przyciągnąć do współpracy z różnych stron świata tych ewentualnych fachowców polskich w zakresie handlu kawą, wełną, bawełną, tytoniem, ryżem, kauczukiem i t. d. i przy ich pomocy i pewnem poparciu finansowem i organizacyjnem zagranicy stworzyć w kraju własny wielkokupiecki aparat handlowy, któryby zastąpił zbędne pośrednictwo niemieckie, holenderskie, angielskie i t. d. w naszych obrotach handlowych z krajami zamorskiemi?

W podobny sposób mogliśmy byli przystąpić zaraz w pierwszych latach powojennych do organizacji naszej floty handlowej — pasażerskiej i towarowej—którаby połączyła morze polskie z innemi morzami i oceanami i przewoziła towar z Polski i do Polski oraz rozwoziła nadmiar polskich sił roboczych po obcych kontynentach. Ktoś obliczył, że za przewóz emigrantów polskich w pierwszem dziesięcioleciu naszej niepodległości zapłaciliśmy zagranicznym towarzystwom okrętowym około 60 miljonów dolarów — a ile zapłaciliśmy tym samym towarzystwom za frachty morskie od towarów importowanych do Polski i eksportowanych z Polski, tego zdaje się nikt nie podjął się dotychczas wyliczyć. W każdym razie są to sumy przekraczające niewątpliwie kilkakrotnie wydatki związane z transportem emigrantów.

A doliczmy do tego zbędne usługi zagranicznych firm maklerskich, ekspedycyjnych, ubezpieczeniowych, bankowych i t. p., które mogły być w dużej części zastąpione przez instytucje polskie, oraz zbędny przewóz towarów polskich i zagranicznych do Polski przez całe dziesięciolecie kolejami niemieckiemi i francuskiemi, zamiast drogą wodną przez porty—to otrzymamy w rezultacie cyfry fantastyczne, sięgające miljardów złotych, wydane niepotrzebnie na usługi zagraniczne.

Czyż nie mogliśmy byli tego wszystkiego uniknąć, gdyby zarówno polska emigracja zamorska, jak i całe społeczeństwo polskie było wychowane przed rozbiorami i w okresie niewoli w tradycjach morskich i traktowała wszystko, co jest związane z pracą na morzu, jako źródło wyzwolenia narodowego. Może ktoś zarzucić, że te wywody są dziś bezprzedmiotowe, gdyż w momencie odzyskania niepodległości państwowej Polonja zagraniczna nie była w możności udzielić Macierzy tej pomocy finansowej, fachowej i organizacyjnej, która była jej potrzebna, ani nie reprezentowała tych walorów, któreby pozwoliły ją wykorzystać jako narzędzie ekspansji politycznej i gospodarczej na terenach zamorskich.

Nie przeczę, że tak istotnie było. Jednak nie należy na te fakty zamykać oczu, gdyż są to smutne doświadczenia przeszłości, z których winniśmy wszyscy, w kraju i zagranicą, czerpać wskazania na przyszłość.

Jest rzeczą wiadomą, że warunki polityczne i gospodarcze, w jakich żył naród polski w okresie niewoli i w jakich masy rąk roboczych, wiejskich i miejskich, oraz działaczy narodowych i politycznych opuszczały lub musiały opuszczać kraj ojczysty, by szukać chleba za morzem—nie sprzyjały rozwojowi i emancypacji gospodarczej elementu polskiego na gruncie międzynarodowym. Wszędzie byliśmy pozbawieni opieki i pomocy i zdani wyłącznie na własne siły, niezbyt zahartowane i doświadczone we współzawodnictwie międzynarodowem. Ale czyż jednak nasza emigracja zamorska nie byłaby osiągnęła daleko większych zdobyczy gospodarczych i nie była odegrała daleko aktywniejszej roli zarówno w rozwoju cywilizacyjnym ojczyzn przybranych jak i w odbudowie państwowości polskiej, gdyby była rozumiała zagadnienia kolonjalne i ekspansji zamorskiej narodów europejskich w drugiej połowie ubiegłego stulecia? Niestety idea i znaczenie morza i tych wszystkich spraw, które są z niem związane, były obce pokoleniom polskim z okresu niewoli. Mściły się na nich kardynalne błędy polityki państwowej Polski przedrozbiorowej, która zaprzepaściła i zmarnowała ten najcenniejszy element rozwoju i ekspansji narodowej, jakim jest dostęp do morza i jego pełne wykorzystanie zarówno pod względem gospodarczym, jak i polityczno - militarnym. Wśród inteligencji, jak i wśród mas, emigrujących w ostatnich kilkudziesięciu latach przedwojennych z ziem polskich do republik amerykańskich i do innych państw zamorskich, brak było jakiegokolwiek zrozumienia dla pracy w dziedzinie morskiej, brak było nastawienia na ideę morską, jako źródła emancypacji gospodarczej i ekspansji narodowej. Jak odmiennie wyglądałoby dzisiaj oblicze społeczne Polonji zamorskiej, gdyby przed dziesiątkami lat tysiące naszych inteligentów emigrujących na dalekie kontynenty, zamiast szukać przygód

i swarów personalnych pchało się do pracy zawodowej w handlu, przemyśle, finansach, żegludze i t. p. i gdyby nasi robotnicy rolni i małorolni, zamiast uprawiać żyto i sadzić kartofle, jak to robili w kraju ojczystym, oddali się byli również kulturze produktów o światowym zbycie, jak bawełna, kawa, kakao, ryż i t. p.

Że to nię są bezpłodne fantazje, wystarczy przytoczyć kilka przykładów z historji innych narodów, których dzisiejsza potęga i znaczenie międzynarodowe opierają się przedewszystkiem na wykorzystaniu bogactw morskich i na władaniu morzem. Pomińmy już dzieje polityki morskiej i kolonjalnej dawnych mocarstw jak Portugalja, Hiszpanja i t. p.—ale wróćmy tylko o kilkadziesiąt lat wstecz, kiedy Niemcy nie miały jeszcze ani kolonij, ani własnej marynarki transoceanicznej ani wogóle żadnego wpływu w międzynarodowej polityce i ekspansji morskiej. Idea rzucona przez kilku fantastów w połowie ubiegłego stulecia, że trzeba zbudować „Niemcy na Morzu", zakiełkowała niespodziewanie szybko w całym narodzie niemieckim—a jakie wydała owoce, wszyscy dobrze wiemy. W przeciągu kilkudziesięciu lat niemiecki okręt, niemiecki towar, niemiecki bankier, kupiec i inżynier, niemiecki interes i niemiecka idea wdarły się do wszystkich zakątków globu ziemskiego i torowały drogę przyszłej hegemonji narodu niemieckiego nad całym światem. Wojna przerwała i wstrzymała na jakiś czas ten coraz bardziej groźny i niebezpieczny podbój świata przez Niemcy, lecz tylko na jakiś czas — bo wystarczyło jednego dziesiątka lat, by naród niemiecki odbudował zerwane i zrujnowane przez wojnę stosunki gospodarcze z ośrodkami cywilizowanemi globu ziemskiego, by zajął ponownie jedno z najbardziej czołowych miejsc we współzawodnictwie międzynarodowem. Czemuż to przypisać, jeśli nie nadzwyczaj umiejętnemu wyzyskaniu tych niewyczerpanych możliwości i bogactw, które tkwią w posiadaniu własnego morza? Czyż zamorska emigracja niemiecka byłaby doszła do tych wpływów i stanowisk, które obecnie posiada, gdyby jej nie chroniła i jej nie pomagała potężna ekspansja morska macierzy? „Dzięki rozbudowie floty i wzrostowi potęgi morskiej Niemiec, ludność zwiększyła się nagle o kilka miljonów. Albowiem poczuli się Niemcami wszyscy ci, których dotąd tylko luźne nici łączyły z Macierzą"—pisał w latach siedemdziesiątych ub. stulecia admirał niemiecki Stosch, jeden z pierwszych organizatorów niemieckiej floty wojennej. A w kilka lat później, w memorjale złożonym cesarzowi niemieckiemu w sprawie programu morskiego, pisze admirał Caprivi: „Morze przestało dzielić narody, a kraj który chce utrzymać światowe znaczenie, musi się interesować morzem". Na przełomie ubiegłego i bieżącego stulecia zdobycze kolonjalne Niemiec zagrażają już nietylko panowaniu kolonjalnemu innych narodów, ale nawet całości i suwerenności niektórych republik amerykańskich. A narzędziem tej ekspansji mocarstwowej Niemiec jest rozsiana wszędzie emigracja niemiecka, której cały wysiłek twórczy jest nastawiony na współpracę z macierzą i zogniskowany około rozbudowy potęgi morskiej metropolji.

Przykład ten jest dostatecznie wymowny, jak nieocenioną rolę odgrywa morze i pełne wykorzystanie jego walorów dla rozwoju każdego narodu i jego emigracji zamorskiej.

By nie być jednostronnym, przypomnijmy jeszcze, jak wielkie usługi oddało i oddaje morze tym małym państewkom, które umiały i umieją wykorzystać dostęp do morza, jak Belgja, Szwecja, Norwegja, Finlandja i t. d. Bandery tych krajów rejestrowane są dzisiaj regularnie we wszystkich portach świata i rozwożą towar ojczysty po wszystkich rynkach światowych, gdzie go sprzedają rodacy.

Na szczególną uwagę zasługuje jednak Finlandja, która żyła w podobnych co my warunkach przed wojną, ale która jednak nie straciła z oka zagadnienia morskiego i z chwilą odzyskania niepodległości znalazła siły i środki, by nawiązać samodzielnie, bez obcej pomocy, kontakt z całym światem i zorganizować przy współpracy swej emigracji takie stosunki handlowe i nawigacyjne ze wszystkiemi kontynentami, jakich Polska dotychczas nie posiada. Towar, kupiec i okręt finlandzki mają dziś ustaloną opinję na wszystkich rynkach, zawdzięczając to jedynie dostępowi do morza i swobodnemu wykorzystaniu tego przywileju.

A na czem opiera się dzisiaj stanowisko mocarstwowe Japonji i jej ekspansja emigracyjna i gospodarcza na kontynencie amerykańskim i azjatyckim, jeśli nie na mądrej polityce morskiej i na skoncentrowaniu wysiłków całego narodu około rozbudowy potęgi morskiej. Okręty japońskie krążą dziś po wszystkich Oceanach i rozwożą towar japoński i emigranta, kupca i inteligenta japońskiego i utrzymują ścisłe więzy między ośrodkami japońskiemi, rozrzuconemi po różnych krajach i kontynentach a macierzą.

Podobnych przykładów nie brak w historji i w życiu współczesnym. A im dalej i szerzej wnikać w to zagadnienie i rozważać je pod kątem doświadczeń dziejowych, tem głębszego znaczenia nabierają cytowane na początku artykułu mądre słowa Prezydenta Rzeczypospolitej, prof. Mościckiego, że miłość morza winna być tem źródłem, z którego będą czerpały moc przyszłe pokolenia Polski.

Zrozumienie tej dewizy przenika już dzisiaj we wszystkie warstwy społeczeństwa polskiego, które może być dumne ze zdobyczy osiągniętych w ostatnich latach w dziedzinie wykorzystania dostępu do morza. Około 67% obrotów handlowych Polski z zagranicą przeszło już w roku ubiegłym przez porty polskie. Gdynia jest już połączona dzisiaj z większością ośrodków handlowych świata bezpośredniemi rejsami, a bandera polska powiewa już na Morzu Bałtyckim, Północnym i Śródziemnym oraz na Oceanie Atlantyckim. Jedynie tylko zostało prawie nietknięte zagadnienie współpracy Polonji zagranicznej z Macierzą na morzu, sprawa wykorzystania tych wszystkich atutów, które nam daje wolny dostęp do morza, dla rozbudowy stosunków gospodarczych i więzów narodowych i kulturalnych z Rodakami na obczyźnie.

Przystępując do rozwiązania tego ważnego zagadnienia, należałoby w pierwszym rzędzie podjąć szeroko zakrojoną akcję propagandową w ośrodkach polskich za morzem, by należycie spopularyzować ideę morza polskiego i znaczenie tego elementu dla niezawisłości gospodarczej i politycznej Polski i dla jej ekspansji na terenach zamorskich. W poszczególnych ośrodkach polskich powinny powstawać koła przyjaciół morza polskiego względnie oddziały Ligi Morskiej i Kolonjalnej, tej wielkiej propagatorki i realizatorki programu mor-

skiego Polski. Wszędzie, gdzie istnieją większe skupienia polskie, musi się szerzyć polska ideologja morska, musi utrwalić się pogląd, że Polska ma prawo do morza i że umie z tego morza korzystać dla dobra własnego i postępu ludzkiego.

A wraz z popularyzacją hasła morskiego musi szerzyć się zrozumienie zarówno wśród poszczególnych jednostek jak i wśród organizacyj społecznych i gospodarczych Polonji zagranicznej dla współpracy praktycznej z Macierzą na morzu. Przy każdem przedsięwzięciu, przy każdej inicjatywie, czy to będzie w dziedzinie handlowej, czy kolonizacyjnej, czy turystycznej, czy jakiejkolwiek innej, należy pamiętać o morzu polskiem, o wykorzystaniu portów polskich i polskich linij okrętowych lub tych, które utrzymują regularną komunikację z portami polskiemi. Ci którzy mają odpowiednie do tego warunki, winni swą pracą i swą inicjatywą dopomagać do rozwoju ekspansji handlowej i ludnościowej Polski na terenach zamorskich, oraz do rozbudowy stosunków handlowych między ośrodkami polskiemi zagranicą a rynkiem polskim. Artykuły eksportowe, produkowane przez osadników polskich w Kanadzie, Brazylji, Australji czy gdziekolwiek indziej, winny mieć w Polsce uprzywilejowany zbyt wzamian za wywóz produktów polskich do tych ośrodków. Jeśli istnieją gdziekolwiek korzystne możliwości czyto dla rozszerzenia działalności polskiej floty handlowej, czy dla rozwinięcia polskiego handlu zamorskiego, czy też dla osadnictwa polskiego lub ekspansji kolonjalnej — nie należy niczego zaniedbać, by te możliwości wykorzystać. Każdy z nas musi pamiętać, że tylko zbiorowym wysiłkiem możemy odrobić wiekowe zaległości na morzu i że gdziekolwiek się kto z nas znajduje, może swą pracą, inicjatywą lub szczęśliwą ideą dopomóc do rozwoju i rozrostu Polski na morzu.

Współpracując przy realizacji programu morskiego Macierzy, Polonja zagraniczna wzmacniać będzie jednocześnie swą sytuację materjalną, swą pozycję społeczną i swój prestiż narodowy. Przy wytrwałej i planowej akcji dojdziemy może w niedługim czasie do tego, że w każdym większym ośrodku handlowem świata będziemy posiadali polski aparat handlowy i ekspozyturę polskiego bankiera, armatora i ekspedytora, że towar i kupiec polski będą traktowani na równi z towarem i kupcem innego pochodzenia i że bandera polska będzie znana i rejestrowana we wszystkich portach świata. A wtedy zrozumiemy, że morze polskie jest nietylko bezcennym skarbem i gwarancją swobodnego rozwoju państwa polskiego, ale jednocześnie źródłem ekspansji i prestiżu żywiołu polskiego za morzem i najmocniejszą więzią i narzędziem współpracy między Polonją zamorską i Macierzą.

Jan Wojnar.

Składajcie ofiary na Fundusz Kolonjalny Ligi Morskiej i Kolonjalnej.

„Rzeką Ivahy dopłynąć można do Europy".

Wśród kolonij polskich rozrzuconych po kilku stanach Brazylji, do wielce charakterystycznych należą osiedla położone w dorzeczu Ivahy.

Rzeka sama, przecina środkowe i zachodnie połacie stanu Parana, stanowiące jeden z większych dopływów potężnej rzeki o tej samej co stan nazwie.

Kilkadziesiąt lat temu nie było tu mowy o żadnej cywilizacji. Ivahy przecinała milczącą i parną puszczę; zrzadka zaludniali te okolice „kabokle" — indyjsko-portugalscy mieszańcy, wegetujący swobodnem leśnem życiem. Potem przyszły czasy kolonizacji. W dzikiej okolicy nie było wcale dróg, więc leśnemi ścieżkami, lub na falach rzeki w wąskich „canoas", przybywali Polacy, Francuzi, Niemcy, Holendrzy, Ukraińcy — istny wyścig narodów, rozgrywający się na przestrzeni 40 — 50 lat.

Parana jest olbrzymia, dorzecze Ivahy dotąd potrzebuje rąk ludzkich do pracy, procesu więc kolonizacji nie należy tu uważać za zakończony. Można jednak przyjąć, iż pierwsza faza tego procesu została zamknięta. W chwili obecnej najlepiej uprawne i najbogatsze ziemie należą do Polaków i Ukraińców. Z Francuzów, którzy założyli osadę Theresina, nie pozostało dziś ani śladu; Niemców w Candido de Abreu zdziesiątkowała po wielkiej wojnie malarja, rozproszyli się i Holendrzy przybyli tu przed laty w niewielkiej grupie.

Nie zatrzymując się dłużej nad przyczynami, które wywołały niepowodzenie innych kolonizacyj, stwierdzić jednak trzeba, iż ówczesne warunki życia były tu dla osiedleńców z Europy nad wyraz ciężkie i wymagały materjału zaprawionego w trudzie fizycznym i niedostatku.

Do największych ośrodków emigracji polskiej należą w dorzeczu Ivahy — Hervalsinho, Apucarana, Theresina. Ta sama Theresina, w której jeszcze przed przybyciem Polaków, próbowali założyć jedwabnictwo Francuzi, zbudowali murowane, piękne domy, założyli wzorową kolonję, lecz po śmierci jej założyciela rozproszyli się po kraju wystraszeni malarją i zniechęceni trudami, które wydały im się wówczas bezowocne. Dziś Theresina odznacza się doskonałym klimatem. Wycięto naokoło lasy sprzyjające malarji, zamiast nich, w szerokim promieniu rozciągają się pola zasiane kukurydzą, ryżem, czarną fasolą — zobaczyć również można pracowicie motyką obrobione poletka pod pszenicę. Pług niebardzo tu jeszcze, wszedł w użycie. Okolice Theresiny są górzyste, rozmach kolonisty idzie wszerz, pragnie ogarnąć jaknajwięcej ziemi, gospodarka więc ma charakter wybitnie ekstensywny. Na karczowanie leśnych rumowisk niema poprostu czasu i wolnych rąk.

Co kilka lat zapuszcza się na pewnym obszarze t. zw. „capoeia", czyli zagajnik, który gdy należycie podrośnie, zostaje wycięty i spalony. Popiół użyźnia nigdy nie przewracaną ziemię, wśród wielkich osmalonych pni i konarów wzrastają zielone łodygi kukurydzy.

Taksamo gospodaruje się i w Apucaranie i w Hervalsinho i wszędzie — jak mówią tu — „w lasach", gdzie bardziej nowoczesna gospodarka jeszcze się nie opłaca z powodu dużego oddalenia od większych ośrodków zbytu. Oddalenie to powiększa się tembardziej,

że stan dróg jest wszędzie w tych okolicach tak fatalny, iż np. auto ciężarowe, które z najbliższego miasta Ponta Grossy, powinnoby docierać do Theresiny w kilka godzin, podróżuje nieraz parę dni, z ciężkiemi przejściami.

Bardziej przystosowanym do tutejszych warunków środkiem komunikacji są tu t. zw. „caroçy". „Caroça" jest wielkim wozem nakrytym płócienną budą, zaprzężonym zwykle w 8 do 16-tu mułów lub koni. Pod budą, wśród worków i skrzyń z towarem, siedzi zazwyczaj rodak „karośnik", chwaląc sobie swobodne życie i ostro popijając mocną wódkę z trzciny cukrowej. Wozy te podróżują nieraz na wielkich przestrzeniach, znajdując się w drodze przez długie tygodnie.

Oprócz rolnictwa, główną podstawą gospodarki kolonistów polskich jest w tych okolicach hodowla nierogacizny. Hodowla bydła nie daje tu narazie większych rezultatów, w specyficznych jednak warunkach miejscowych, hodowla nierogacizny, prowadzona często w prymitywny sposób, wzorem „kabokli", udaje się doskonale. Handlem nierogacizną zajmują się tu Syryjczycy, nigdy nie pracujący na roli, stanowiący zato groźną konkurencję dla kupców polskich, utrzymujących po kolonjach sklepy, zwane „vendami".

Naogół, powiedzieć można, iż po wielu latach pracy, koloniści nasi w dorzeczu Ivahy doszli do pewnego dobrobytu. Zasobni są prawie wszyscy w ziemię, a i nadal zresztą powiększają swój stan posiadania. Dobrobyt ten nie wpływa dziś jeszcze na podniesienie stopy życiowej. Kolonista pracuje taksamo jak przed 30-tu lub 40-tu laty, żywi się prymitywnie, mieszka często bylejak. Nieliczni tylko budują sobie piękne duże domy. Warto tu zauważyć, iż najbliżsi sąsiedzi Polaków — Ukraińcy, odznaczają się w tych okolicach specjalną dbałością o wygląd zewnętrzny swych siedzib.

Oszczędzając na wszystkiem, kolonista nasz nie żałuje jednak środków na szkołę. W dorzeczu Ivahy, nawet stosunkowo małe skupienia polskie prowadzą na własny koszt szkoły prywatne, mając często obok, bezpłatne brazylijskie. Każda kolonja posiada w swem centrum budynek szkolny wystawiony z inicjatywy i z funduszów samych kolonistów. Szkoły polskie znajdują się pod zarządem miejscowych towarzystw oświatowo-kulturalnych, których członkami są z reguły wszyscy koloniści posyłający swe dzieci do szkoły.

Skazani na życie wśród obcych, odgradzający się od nich z całem poczuciem własnej odrębności, zmuszeni są Polacy istnieć w swych małych skupieniach, zamykając w nich wszystkie swe sprawy życiowe. W warunkach tych szkoła, poza właściwem przeznaczeniem, staje się poprostu budynkiem klubowym, gdzie organizują się niedzielne zebrania i zabawy, często i występy teatru amatorskiego, reperujące zwykle nadszarpnięty budżet szkolny.

Wprawdzie wszystkie szkoły polskie w Paranie odczuwają stałe kłopoty pieniężne, szczególnie jednak uwidocznia się to w okolicach tak odległych od większych ośrodków, gdzie panuje stały brak gotówki i gdzie przeciętny stan zamożności rolnika o wiele jest niższy od stanu finansowego kolonij położonych w pobliżu miast.

Mimo wszystko, wszelkie imprezy kulturalno-oświatowe, mające na celu przyniesienie dochodu towarzystwom szkolnym, cieszą

się w dorzeczu Ivahy wielkiem powodzeniem. Są one najlepszą manifestacją zbiorowej solidarności panującej wśród Polaków tutejszych. Niektóre przykłady są wzruszające. Dorosła młodzież w Apucaranie, udaje się ze swym zespołem amatorskiego teatru do Theresiny, gdzie urządza przedstawienie (14 klm. drogi), aby zachęcić tem Theresinę do uruchomienia zespołu własnego. W rok później to samo robi nowy zespół z Theresiny, jadąc 25 klm. do Hervalsinho. „Aktorzy" jeżdżą oczywiście konno, po drodze douczając się swych ról. Zaryzykujemy opinję, iż dorzecze Ivahy jest jednym z niewielu kątów świata, gdzie sztuka teatralna, choć pojmowana arcynaiwnie, przyjmowana jest z prawdziwym entuzjazmem tak ze strony widzów jak i wykonawców.

Na podłożu tego rodzaju wzajemnych stosunków, zachowuje się tu w całem swem bogactwie życie obyczajowe wsi polskiej, dziś bardziej niekiedy zmodernizowanej w „starym kraju", niż tu wśród garści ludzi przechowujących w pamięci pieśni, zwyczaje i obrzędy — jedyne trwałe nici wspomnień. Nie wszędzie już w Polsce zobaczyć można takie wesela chłopskie jak to np., które udało się autorowi niniejszego artykuliku widzieć w Hervalsinho. Wesele odbyło się z całym aparatem obrzędowym, śpiewami przy wyjściu z kościoła, przy wprowadzeniu do nowego gospodarstwa panny młodej, przy oczepinach — tańczono i popijano wódkę z trzciny cukrowej przez trzy dni w nastroju coraz bardziej frywolnym którego koroną były prześpiewy poważnych ale i podchmielonych gospodyń, licytujących się w wyśpiewywaniu mało cenzuralnych okolicznościowych piosenek. Krzyżowały się przytem pieśni polskie i ruskie, koloniści bowiem z Hervalsinho pochodzą głównie z okolic Zamościa.

Dziwnie brzmiały te stare, półpogańskie, pieśni weselne Słowian, wśród kęp bananowych otaczających zagrodę.

Życie polskie idzie więc tutaj własnym torem, niezależnie zupełnie od środowiska brazylijskiego, z którem jednak posiada stałą styczność. Sąsiad Brazyljanin żyje dobrze z sąsiadem Polakiem, często się zdarza przytem, że porozumiewają się na migi, gdyż Polak nie miał wprost sposobności, przez 30 lat pracowitego pobytu w tym kraju, nauczyć się miejscowego języka. Wielu Brazyljan mówi tu natomiast trochę po polsku, co czasem daje tak kapitalne efekty, jak charakterystyczne mazurzenie u czarnoskórego sąsiada Polaków. Młode pokolenie polskie posiada tu już jednak znajomość portugalskiego języka, którego nauczanie obowiązkowe jest i w szkołach polskich.

Harmonijny naogół i zdrowy układ stosunków wśród kolonji polskiej, przypisywać tu należy brakowi jakichkolwiek wpływów zewnętrznych, zakłócających stosunki między Polakami w miastach. Wszystko ułożyło się tu trybem naturalnym, niema zbyt daleko sięgających ambicyj, nie rozgrywają się tu kosztem życia zbiorowego interesy grup i koteryj. Do zatargów z ludnością brazylijską dochodzi rzadko. Poważniejszym wypadkiem tego rodzaju było zabójstwo dokonane na jednym z Polaków, w związku z podnieceniem ludności w okresie wyborów. Wypadek ten wywołał poważne poruszenie opinji, wskazując na wzrastającą potrzebę utrzymania solidarności żywiołu polskiego. Największa odpowiedzialność w tej dziedzinie, spoczywa na

barkach nielicznych przedstawicieli inteligencji, zamieszkujących dorzecze Ivahy.

Polacy tutejsi żyją na najdalej wysuniętych placówkach cywilizacji. Przed niemi stoją otworem dzikie i bezludne obszary leśne, których drobną część zdołali opanować. Wśród założonych przez nich osad rolnych przepływa krętym biegiem rzeka Ivahy, ginąc w lasach w kierunku dalekich wodospadów na rzece Paranie. O Ivahy usłyszeć można ciekawe historje od starego „kabokla", który opiekuje się w Theresinie promem na rzece i chętnie opowiada swe wspomnienia sięgające aż czasów wojny paragwajskiej. Wspomnienia te krążą zawsze dookoła „jego" rzeki, o której zwykł nadmieniać: *„tak panie!... Ivahy to niebylejaka rzeka, dopłynąć nią można aż do Europy!...*

Karol Kryński.

Ogólne uwagi o osadnictwie zamorskiem

(artykuł dyskusyjny).

I.

Obecny okres wstrzymania fali wychodźczej stawia przed nami pytanie, czy fakt zaniknięcia ruchu emigracyjnego można poprostu zarejestrować bez żadnej reakcji, czy też należy mu przeciwdziałać. Zajmując się tem zagadnieniem na łamach pisma poświęconego sprawom wychodźtwa osiadłego już poza krajem, spróbujmy odpowiedzieć, biorąc pod uwagę li tylko interesy samego wychodźtwa. Zasadniczo, masa wychodźcza zainteresowana jest w stałym napływie nowych imigrantów-rodaków. Zainteresowanie to jest bezsporne, gdy napływ imigrantów, powodowany jest silnem zapotrzebowaniem obcych rąk roboczych ze strony kraju imigracyjnego, gdyż istnieje wtedy możność targu, targu nie pozostającego bez wpływu na los imigrantów dawniej osiadłych. Przez dłuższy okres czasu np. emigranci polscy w Kanadzie czy Francji niewątpliwie zyskiwali na tem, że kraj macierzysty mógł od władz kraju starającego się o nowych emigrantów, uzyskiwać pewne korzyści dla dawnych emigrantów, korzyści trudne zazwyczaj do wyjednania, a możliwe tylko przez zwykłe targowanie przy każdem nowem zapotrzebowaniu.

Niezależnie od powyższych korzyści, aż nadto oczywisty jest fakt, że w miarę wzrastania liczby emigrantów-rodaków w danym kraju, wzmagają się ich możliwości bezpośredniego oddziaływania na swe losy.

Tak proste postawienie sprawy komplikuje się jednak odrazu wraz ze zmianą konjunktury gospodarczej w kraju imigracyjnym, gdy każdy przybywający imigrant powiększa ciasnotę na rynku pracy, obniża cenę rąk roboczych, staje się konkurentem w handlu. Pomimo wszelkich względów uczuciowych, musi się wtedy dawne wychodźtwo bronić przed dalszym napływem rodaków i nic też dziwnego, ani ujemnego w tem, że w ostatnich latach wychodźcy polscy w różnych krajach często zastrzegali się przeciwko przyjazdowi nowych emigrantów z Polski. Z drugiej jednak strony wychodźtwo nie może zapomnieć o tem, że istotna siła jego związana jest z zachowywaniem polskości i utrzymywaniem odporności gromadzkiej w stosunku do innych grup

narodowościowych, a tak jedna, jak i druga zanika nie tylko wtedy, gdy liczba polskich emigrantów maleje, a nawet wtedy się nie powiększa, gdy grupa polska zatrzymuje się, kostnieje w swym rozwoju, bez dopływu świeżych sił z kraju ojczystego. W jakichkolwiek zatem okolicznościach, przejściowo ograniczających możliwości imigracyjne, dla wychodźtwa pozostaje zawsze otwarta kwestja dopływu nowych imigrantów i umożliwienia umieszczenia wśród osiadłych wychodźców takich kategoryj współrodaków, któreby nie pogarszały aktualnej sytuacji wychodźtwa, a przynosiły z sobą wartości trwałe, mogące walnie przyczynić się do rozwoju polskiego wychodźtwa.

II.

Stopniowe zanikanie ruchu emigracyjnego z Polski spowodowane zostało czynnikami zewnętrznemi jak ograniczenia imigracyjne, depresja gospodarcza krajów imigracyjnych, a wreszcie spadek zdolności finansowej wiejskiej ludności w Polsce, sprowadzający w swej konsekwencji niemożność pokrywania kosztów przejazdu zwłaszcza do krajów pozaeuropejskich. Powstał jednak, a nawet wzmógł się naturalny czynnik ruchu emigracyjnego: warunki populacyjne i agrarne wsi polskiej, czyniące kwestję emigracji nadal aktualną.

Jeśli nawet zgodzimy się, że emigracja przy największym nawet rozwoju, nigdy nie zdoła rozwiązać problemu przeludnienia wsi, to w każdym razie dotychczasowe doświadczenia wskazują, że ruch wychodźczy dla całych okręgów regjonalnych, stanowił poważny i bardzo dodatni moment w układzie warunków gospodarczych i już sam ten fakt kwalifikuje kwestję emigracji do rzędu stale aktualnych i stale mających przodujące znaczenie problemów państwowych.

W tej sytuacji czynniki, powołane do torowania drogi emigrantom, nie mogą poprzestać na zarejestrowaniu ograniczenia ruchu wychodźczego, lecz muszą doszukiwać się wszelkich możliwych form przezwyciężenia dekonjunktury emigracyjnej i wykorzystywania każdej sposobności dla otworzenia coraz szczelniej zawierających się bram krajów imigracyjnych.

W poszukiwaniu istniejących jeszcze możliwości emigracyjnych napotyka się jeden charakterystyczny objaw. Większość ograniczeń imigracyjnych nie dotyka jednej z form ruchu wychodźczego, a mianowicie emigracji osadniczej; przeciwnie, państwa skądinąd bardzo pochopnie wchodzące na tory prohibicji imigracyjnej, interesują się napływem osadników i faworyzują każdą akcję zmierzającą do ściągnięcia osadników. Ponadto głębokie perturbacje w gospodarce rolnej, zwłaszcza w krajach Ameryki Południowej, załamania się systemu jednotypowej eksploatacji plantacyjnej i konieczność przechodzenia na system mieszanych kultur, wszystko to powoduje, że w krajach, gdzie dotychczas nie można było znaleść żadnego czynnego zainteresowania się osadnictwem, teraz zarówno rządy jak i miejscowe czynniki gospodarcze same występują z inicjatywą kolonizacyjną.

Już sam ten moment nakazywałby zwrócenie baczniejszej uwagi na kwestję osadnictwa.

Jakąż jednak istotną wartość dla naszych interesów emigracyjnych i ogólno-gospodarczych może osadnictwo przedstawiać, poza obecnemi względami konjunkturalnemi.

Niewątpliwie, należy stwierdzić, że ta forma emigracji przedstawia dla gospodarstwa narodowego pewien czynnik ujemny, związany z odpływem kapitału, znacznie większego niż ma to miejsce w ruchu emigracyjnym zarobkowym oraz z faktem, że osadnik przenosząc swą podstawę bytowania całkowicie zagranicę zrywa ekonomiczny kontakt z krajem i późniejszy jego dorobek jest dla kraju stracony.

Osadnictwo jednak zawiera niezmiernie dodatnie czynniki. Przedewszystkiem osadnik zdobywając swój własny warsztat pracy w postaci ziemi jest tem samem człowiekiem niepodległym, nie wchodzi do masy proletarjatu wychodźczego, skazanego stale na wyzysk, nie tylko miejscowych pracodawców, lecz co gorsza pośredników, dosłownie handlujących żywą siłą emigracyjną. Gdy emigranci zarobkowi tworzą masę lotną zarówno w znaczeniu geograficznem jak i społecznem, osadnicy stanowią element trwały, niezależny w dużej mierze od okoliczności konjunkturalnych, a przedewszystkiem posiadają znaczną siłę atrakcyjną. Osadnik zagospodarowany ściąga drugiego osadnika, a w dalszym stopniu rozrostu gospodarki potrzebuje sił roboczych i sprowadza swych krewnych czy obcych robotników rolnych z Polski.

Jeżeli obecnie, ulegając koniecznościom państwowym, mamy odbudowywać ruch wychodźczy i wśród nawały ograniczeń imigracyjnych stwarzać nowe możliwości emigracyjne, to te wartości osadnictwa, wartości o charakterze rozwojowym muszą przeważać nad negatywnemi zastrzeżeniami.

Wyzyskanie ruchu osadniczego i zneutralizowanie jego ujemnych stron możliwe jest jednak pod warunkiem *zorganizowania* tegoż ruchu. W braku organizacji osadnictwo jest dla kraju jeśli już nie bezpowrotnie stracone, to w każdym razie kosztuje tyle strat, że państwo nie mogłoby na nie pozwolić. Samorzutny ruch osadniczy powoduje przedewszystkiem rozproszkowywanie się osadników po olbrzymich terenach, wyzysk ich przez pośredników i przedsiębiorców kolonizacyjnych, a wreszcie stratę olbrzymiej energji na zdobywanie doświadczenia.

Zrozumienie dla konieczności zorganizowania ruchu osadniczego przez czynniki polskie, pojawia się w Polsce stosunkowo bardzo późno, bo dopiero od roku 1927. Ruch osadniczy do Brazylji odbywał się całkiem chaotycznie i tylko niespożytym przymiotom osadników polskich należy zawdzięczać fakt, że stanowią oni tam teraz element, na którym można budować dalsze nadzieje, do dziś dnia jednak nie wiemy ile tysięcy jednostek zginęło w czasie słynnej gorączki brazylijskiej, jakie tragedje kryją w sobie puszcze Parany. Akcja osadnicza w Kanadzie, stanowiąca drugi masowy objaw osadnictwa, przeprowadzona była przez czynniki obce, wprawdzie w sposób na szczęście zadawalający pod względem organizacyjno-fachowym, lecz całkowicie z pominięciem polskich interesów emigracyjnych i temu faktowi należy przypisać, że ograniczenia imigracyjne kanadyjskie zamknęły zupełnie możność kontynuowania akcji emigracyjnej do tegoż kraju i tamtejsze osadnictwo, jako czynnik rozwojowy, nie może grać poważniejszej roli.

Kiełkujące od 1927 r. koncepcje koordynowania akcji osadniczej doprowadziły do zrealizowania próbnych przedsięwzięć w formie polskich przedsiębiorstw osadniczych powołanych do zaciągu osadników, organizacji ich transportów i osadzania na terenach uzyskanych drogą koncesji od miejscowych rządów.

Pierwsze z przedsiębiorstw osadniczych — Towarzystwo Kolonizacyjne podjęło w r. 1929 działalność na terenach uzyskanych od rządu brazylijskiego stanu Espirito Santo, zakładając kolonję Aguia Branca. Kolonja ta, zasiedlona przez kilkadziesiąt rodzin, prosperuje mimo początkowych znacznych trudności, w ostatnim czasie została gruntownie zreorganizowana i, mimo niepomyślnych warunków finansowych, posiada pomyślne szanse rozwoju.

Poza Brazylją zwrócono uwagę na Peru, gdzie Spółdzielnia Osadnicza „Kolonja Polska" na terenach koncesyjnych nad rzeką Ucayali w Departamencie Iquitos założyła kolonję złożoną z kilkunastu rodzin.

Obie te akcje nie stoją, oczywiście, w żadnej proporcji do rozmiarów zagadnienia i należy je traktować jako próbne. Doświadczenia uzyskane dzięki nim wskazują, że tworzenie zwartych osad polskich jest osiągalne, konieczną jest jednak pewna zmiana systemu organizacji akcji.

III.

Podstawowym warunkiem powodzenia akcji osadniczej jest zastosowanie odpowiedniego systemu organizacji. W dotychczasowej praktyce osadniczej na terenie obu Ameryk można zaobserwować cztery sposoby organizowania osadnictwa: kanadyjski, zbliżony do niego japoński, osad administracyjnych oraz parcelacyjny.

System kanadyjski, — której to nazwy użyto tutaj z tej racji, że jest on typowy dla akcji prowadzonej za pośrednictwem kanadyjskich towarzystw kolejowych — polega na tem, że przedsiębiorstwa rozporządzające rozległemi, niezaludnionemi terenami podejmują się we własnym zarządzie skolonizowania tych obszarów, celem zaludnienia ich przyszłymi dostarczycielami frachtów kolejowych i wznowienia ruchu pasażerskiego. Mając na celu uzyskanie z akcji osadniczej korzyści wtórnych, — bo nie z zysków płynących z rozprzedaży ziemi, lecz z ożywienia ruchu kolejowego, — przedsiębiorstwa nie liczą na rentowność samej akcji i łożą stosunkowo duże sumy na organizację ruchu osadniczego (około 1000 dol. am. na rodzinę). Osadnicy werbowani są w Europie za pośrednictwem własnego aparatu przedsiębiorstw; przyjeżdżając do Kanady, spotykają się z dobrze zaopatrzonemi urządzeniami rozdzielczemi i podlegają potem stałej obserwacji agentów przedsiębiorstwa, pouczających ich i udzielających im stosunkowo wydatnej pomocy.

System zbiorowego osadnictwa stosowany jest przez Japończyków na terenie Brazylji. Akcja japońska może być wzorem akcji organizowanej przez kraj macierzysty, aż do najdrobniejszych szczegółów. T-wa emigracyjne (głównie Tow. „Kaigai Kogyo Kaiska) zakupują w Brazylji drobne objekty rolne, przeważnie sadownicze i uzyskują koncesje na większe tereny plantacyjne, na tereny te werbują osadników w kraju, bardzo troskliwie przygotowują ich do oczeku-

jących ich zadań a po przybyciu na teren skierowują w zwartych grupach na odpowiednie ziemie. Przez cały czas pobytu w Brazylji osadnicy podlegają nietylko opiece, ale nawet nadzorowi i rozkazom instruktorów japońskich, przepisujących im jakie uprawy i hodowle mają wprowadzać na swych działkach; również cały zbyt i zakupześrodkowany jest w ręku japońskich instytucyj emigracyjnych. Dzięki takiej organizacji osadnicy, których początkowe koszty osadzenia wynosiły na rodzinę około 50.000 zł., w ciągu paru lat nietylko, że spłacili swe działki i pokryli koszty osadzenia, ale są już importerami szeregu surowców do swego kraju ojczystego.

Trzeci system — osad. administrowanych — stosowany przez różne przedsiębiorstwa w Brazylji, Argentynie i Paragwaju — polega na uzyskaniu koncesji na większy obszar ziemi, osadzaniu tam przybyłych samorzutnie emigrantów pod własnym zarządem, polegającym na nadzorze instrukcyjnym nad osadnikami, pewnej pomocy w zasiewach i zaprowiantowaniu, prowadzeniu robót inwestycyjnych oraz centralizacji zbytu i zakupów danej osady.

Wreszcie *czwarty system, najprostszy o ile chodzi o organizację — to zwykłe pośrednictwo w rozparcelowaniu obszaru kolonizacyjnego*, przedsiębiorca wtedy poprzestaje na wymierzeniu terenu, podziale tegoż na działki i po spisaniu kontraktu przestaje już się interesować dalszemi losami osady.

Z pomiędzy powyżej opisanych systemów najwięcej korzyści przedstawia bezsprzecznie japoński wraz z kanadyjskim; są też one najdroższe i przerastają siły przeciętnego przedsiębiorstwa prywatnego. Zwłaszcza system japoński nie może być stosowany przez przedsiębiorstwa typu handlowego, gdyż wydatki z nim związane z góry przekreślają możność samowystarczalności akcji, przynajmniej na okres conajmniej 10 lat, a potem możliwy jest jedynie zwrot wyłożonych kapitałów, bez żadnego zysku. W systemie kanadyjskim zyski są możliwe, lecz nie z samej akcji kolonizacyjnej, zatem przedsiębiorstwa handlowe mogą go stosować tylko ubocznie. Akcja kolonizacyjna przez tworzenie osad administracyjnych jest o tyle bliższa kalkulacji handlowej, że nie wymaga utrzymywania aparatu werbunkowego w kraju pochodzenia osadników, aparatu zazwyczaj bardzo drogiego i ogranicza się tylko do administracji osady; w tym wypadku samowystarczalność przedsiębiorstwa jest o tyle możliwa, o ile na terenie osady można zainstalować różne urządzenia przetwórcze jak młyn, gorzelnia i t.p., któreby pokrywały koszta utrzymania administracji.

IV.

Polskie przedsięwzięcia osadnicze na terenie Brazylji i Peru podjęto pod hasłem systemu japońskiego, lecz bez podstaw finansowych i starannych przygotowań cechujących akcję Japończyków. Początkowy rozmach i rozgłos towarzyszący polskim przedsiębiorstwom robiły wrażenie, że chodzi o akcję obejmującą tysiące osadników i miljony hektarów terenu. Odpowiednio do tego rozmachu rozbudowano aparat administracyjny i werbunkowy w kraju; z drugiej strony pod naciskiem błędnie przyjętej opinji społecznej, przyjęto zasadę niezwykle

daleko idących świadczeń wobec osadników, począwszy od opieki w czasie transportu aż do żywienia osadników przez długie miesiące pobytu na kolonji. Nic też dziwnego, że niewielkie przy tem zasoby finansowe szybko zostały zużyte na potrzeby administracji w kraju i niebawem nie starczyło już pieniędzy na samą akcję osadniczą w terenie. Tenże sam lekkomyślny rozmach spowodował, że nie mając jednego terenu należycie zorganizowanego przedsiębiorstwa angażowały się w nowe, olbrzymie koncesje, przyjmując na siebie daleko idące zobowiązania wobec tamtejszych rządów, przedsiębiorców i t. p. w przeddzień załamania finansowego i powodując nader przykre wypadki, wywierające nawet refleksy w życiu miejscowego wychodźtwa. W wypadkach tych trudno dopatrzeć się złej woli przedsiębiorstw, a już jaknajmniej złej woli zamiaru nadużycia zaufania; zawinił tu jedynie brak doświadczenia i nieorjentowanie się co do zbliżającego się kryzysu ruchu emigracyjnego, który przekreślił wszystkie plany osadnicze, oparte na przewidywaniu stałego, wielkiego prądu wychodźczego z Polski.

Z dotychczasowych doświadczeń wysnuć należy wniosek, że koncepcje opierania akcji osadniczej na instytucjach organizowanych w kraju są całkowicie nierealne. Podstawą akcji musi być przedsiębiorstwo powstałe w terenie i rozporządzające niewielkim, lecz łatwym stosunkowo do skolonizowania objektem. Przedsiębiorstwo to nie może się obciążać zaciągiem osadników w kraju pochodzenia i organizacją ich towarzystw, lecz musi się ograniczać wyłącznie do czynności osadniczych. Co do wyboru terenu, to tożsame doświadczenia wskazują, że tereny „pionierskie" t. j. uzyskane drogą koncesji są tylko pozornie tanie, gdyż wymierzenie ich, konieczne inwestycje na terenach, uprzystępnienie ich i t.p. pociąga w rezultacie tyle kosztów, że w końcu cena ziemi terenów t. zw. koncesyjnych przewyższa cenę ziemi kupionej, a rzadko kiedy dorównują takie objekty wartości ziemi w okolicach o wyższej kulturze, gdzie bliskość ośrodków handlowych gwarantuje łatwiejszy zbyt produktów.

Najprostszym i zapewniającym największą intensywność akcji sposobem kolonizacji byłoby oczywiście proste parcelowanie terenów. Jednak osadnik świeżo przybyły z kraju nie może się obejść bez początkowej pomocy instruktywnej i organizacyjnej; zwykłe umieszczenie osadnika na działce i pozostawienie go swemu przemysłowi, równałoby się zmarnowaniu jego wysiłków, a dla przedsiębiorstwa oznaczałoby wyrzeczenie się otrzymania dalszych rat za ziemię. Zatem zarówno w interesie przedsiębiorstwa, jak i z uwagi na obowiązek społeczny wobec osadników trzeba, aby teren kolonizowany miał przez pewien okres osobną, wspólną administrację do czasu, kiedy przez zorganizowanie zbytu i przetwórczości osadnicy staną się gospodarczo czynni.

V.

Pierwsze poczynania polskie w zakresie osadnictwa zamorskiego popełniały jeszcze jeden zasadniczy błąd: *organizowane były wyłącznie przez czynniki krajowe z zupełnem niemal wyeliminowaniem opinji miejscowego wychodźtwa polskiego.* Kilkudziesięcioletnie doświadcze-

nie osadników polskich w Brazylji i Argentynie pomijano całkowicie; zadowolono się badaniami dorywczych ekspedycyj i stworzywszy sobie z odległości tysięcy kilometrów plan, odpowiednio dla celów propagandowych błyskotliwy, przystępowano do działania w terenie, rzadko kiedy używając do pracy organizacyjnej tamtejszych, zdawna osiadłych emigrantów. Być może, że część winy jest po stronie samego wychodźtwa; trudno wymagać, aby w chwili, gdy w kraju rośnie gwałtowna potrzeba organizowania ruchu osadniczego czynniki krajowe czekały na inicjatywę wychodźtwa, które wtedy, inicjatywy tej nie potrafiło dać, a do każdej nieomal działalności ustosunkowywało się z góry, zasadniczo krytycznie i negatywnie.

Dla zrealizowania, zdawien dawna kiełkujących idei wzmocnienia polskiego stanu posiadania drogą koncentracji emigracji brak aż dotychczas jednego, najważniejszego ogniwa: współdziałanie ze strony samego wychodźtwa, w postaci zorganizowania czynnej pomocy w wyborze terenu i pośredniczeniu przy umieszczaniu nowoprzybyłych osadników.

Dziś, kiedy możemy już mówić o pozytywnym programie wychodźtwa, kiedy stoimy wobec daleko posuniętej konsolidacji społeczeństwa wychodźczego, kiedy mamy do zanotowania szereg prób konkretnych przedsięwzięć gospodarczo-organizacyjnych — można spodziewać się, że zamierzenia osadnicze nie zawisną w powietrzu, lecz uzyskają fundament w postaci inicjatywy i zbiorowej, skoordynowanej działalności wychodźtwa.

VI..

W obecnej sytuacji gospodarczej wsi polskiej uzyskanie i przygotowanie największej nawet liczby objektów osadniczych i po najtańszej cenie—nie wyczerpuje kwestji ożywienia zamorskiego ruchu osadniczego; ciężar zagadnienia leży w osiągnięciu odpowiednio niskich cen za przejazd okrętowy. Gdy mowa o tanim transporcie morskim, oczy wszystkich zwracają się na banderę polską; powszechnie przyjęte jest rozumowanie, że skoro dla Polski ożywienie ruchu emigracyjnego jest kwestją palącą, to cóż prostszego jak zaokrętować polskich osadników na polskie okręty i po cenie kosztów przenieść ich do Ameryki Płd. To pozornie proste załatwienie sprawy jest jednak nieosiągalne, dopóki nie uzyska się możności skoordynowania i ożywienia obrotu handlowego między Polską, a krajami Płd. Ameryki w ten sposób, aby statki polskie miały zapewniony fracht towarowy, bez którego ruch pasażerski jest niemożliwy. Ta sprawa otwiera wielki i bardzo trudny problem powiązania działalności wychodźtwa polskiego, zwłaszcza w Brazylji, z celami exportu polskiego. Problem ten przerasta ramy niniejszych luźnych uwag, ma już zresztą pokaźną literaturę, żadnych jednak konkretnych rezultatów z dotychczasowych rozważań nie można zanotować.

W konkluzji dochodzimy do przekonania, że zagadnienia osadnictwa zamorskiego, polskiej drogi morskiej i zamorskiej wymiany handlowej podobne jest do odwróconej piramidy, opartej wierzchoł-

kiem wdół, a tym wierzchołkowym punktem jest zwrócenie uwagi wychodźtwa na ekonomiczną łączność z Polską i nastawienie polskiej masy wychodźczej frontem ku polskiemu morzu poprzez polskie faktorje handlowe na brzegach oceanów i polskie domy handlowe w głębi lądów amerykańskich.

Czesław Kulikowski

W ujściu Królowej Rzek

Robił się wieczór. Parowiec szedł przyśpieszonym tempem, jakby w pościgu za tarczą słoneczną, która za chwilę miała zniknąć za linją czarnych chmur, groźnie odcinających się na horyzoncie.

Należało przed nocą znaleźć się u wejścia do kanału, gdzie przypływ piętrzył w tym czasie wody i ułatwiał przebycie szeregu mielizn i ławic, tworzących się jak zwykle u ujścia wielkich rzek.

Z lewej strony majaczył już od dłuższego czasu ląu. W miarę przybliżania się, ukazywała się linja odległego lasu, pokrywająca dominującą nad właściwem wybrzeżem szkarpę. Bliżej, jasna zieleń niższych znacznie skupień roślinności, zapowiadała jakieś plantacje. Po kwadransie wyraźnie zarysowały się pióropusze palm kokosowych, któremi usiany był brzeg aż po widnokrąg. Szeroka plaża, zrzadka przerywana płytkiemi strumieniami, płynącemi z głębi odległych lasów bieliła się w ukośnych promieniach słońca.

Bliżej, jak okiem sięgnąć, toczyły się ku brzegowi szeregi fal, rzekłbyś nacierające zastępy, by na mieliźnie już, spiętrzone przez uciekające od lądu wody, rozpaść się z groźnym hukiem w kaskady bryzgów i piany, a w chwilę potem, kolistymi zasięgami lizać pieszczotliwie twardy, ubity piasek wybrzeża.

Mimo sapania maszyny i hałasu życia na statku, wyraźnie dawały się słyszeć jakby odległe grzmoty, które chwilami zlewały się w jeden przeciągły poszum morza.

Byliśmy już za blisko brzegu, ale kapitanowie statków wolą trzymać się najdalej od prądu idącego z Amazonki, w obawie przed zniesieniem na tworzące się tutaj ustawicznie mielizny.

Od pół godziny przeszło, na rei przedniego masztu powiewał, łopocąc w silnej morce przybrzeżnej, sygnał wzywający pilota.

Parowiec zwolnił biegu. Na mostku kapitańskim wypatrywano przez lornetki znajomego kutra; to samo robiła znaczna część pasażerów i załogi. W pewnej chwili maszyny stanęły, widocznie kapitan uznał dalsze posuwanie się za niebezpieczne.

W tej chwili, setki mew towarzyszących nam już od rana zakołowały szybciej w powietrzu, jakby zaniepokojone, to oddalały się od parowca, to nagłym błyskawicznym rzutem wracały, by zawisnąć na chwilę o parę metrów zaledwie nad nami, kręcąc ciekawie głowami, jakby rozglądając się na wszystkie strony. Ostre, przejmujące a jednocześnie jękliwe ich głosy, mąciły ciszę pogodnego wieczoru, napełniając serca smutkiem i niepokojem.

Na mostku zrobił się ruch. Jeden z załogi, bosman zdaje się, z pokładu na dole wskazywał ręką w stronę prawej burty.

Rzeczywiście, od prawej strony, nieco nawet z tyłu, w oddaleniu dwu może kilometrów, szedł pod pełnemi żaglami dwumasztowy kuter służby pilotów; czerwono-biała flaga świadczyła o jego służbowym charakterze.

Oczekiwano nas widocznie znacznie bardziej na północ; zadźwięczał telegraf okrętowy, maszyny ruszyły i parowiec zaczął opisywać ogromny łuk na prawo, ażeby przyśpieszyć spotkanie. Po kilku minutach maszyny znów stanęły, mieliśmy kuter o 300 metrów od burty.

Spuszczono żagle, podciągnięto łódź, którą kuter prowadził za sobą, wsiadło do niej czterech ludzi: jeden usadowił się z tyłu, dwu z przodu, czwarty zajął miejsce po środku. Ruszyli. Ujrzeliśmy ze zdziwieniem, że wiosłują krótkiemi prawie okrągłemi wiosłami, pomalowanemi na czerwono, takim samem wiosłem operował marynarz siedzący na rufie; była to miejscowa łódź indyjska, zaopatrzona oczywiście w miejscowy sprzęt.

Po paru minutach łódź dobiła do parowca; siedzący po środku pilot chwycił za spuszczoną z parowca drabinkę sznurową i szybko wgramolił się na pokład; odbyła się sakramentalna prezentacja; po chwili pilot objął komendę na mostku. Zadźwięczał telegraf; maszyny ruszyły, wyrównano kurs i parowiec zaczął oddalać się od kutra, gdzie ponownie naciągano żagle; po kwadransie znikł on nam z oczu.

Byliśmy w południowem ujściu Amazonki.

Ujście to nie ladajakiej jest szerokości, wynosi ono blisko 70 kilometrów. Całe ujście licząc deltę, którą tworzy tu wyspa Marajó, wynosi 300 kilometrów. Jest to najszersze ujście na świecie, co nie wyda się dziwnem gdy przymomnimy, że Amazonka daje przy ujściu średnio 100.000 metrów sześciennych wody na sekundę, czyli tyle co dają razem Congo, Missisipi, Yangtse i Nil; że podczas przyboru wlewa się do oceanu Atlantyckiego 200.000 metr. sześc. wody na sekundę. (Wisła średnio daje 1.120). Pamiętać wszakże należy, że basen Amazonki obejmuje przeszło 6 miljonów kilometrów kw. powierzchni, to zn. $^3/_4$ powierzchni Europy, że główny nurt Amazonki, na kilka tysięcy klm. w górę posiada od 25 do 45 metr. głębokości, koło Obidos, o przeszło tysiąc klm. od ujścia, głębokość głównego kanału wynosi 83 metry. Że w miejscach gdzie rzeka płynie między obu widocznemi brzegami, to znaczy nie jest podzielona wyspami, szerokość jej wynosi jedenaście klm.; w miejscach gdzie utworzyła ona liczne wyspy szerokość jej przenosi 30 klm.; że koło Iquitos w Peru o 4600 klm. od ujścia, głębokość jej w porcie wynosi jeszcze 20 metr., w kanale zaś 40, i są na Amazonce miejsca, gdzie sonda wykazuje częstokroć poza 150 metrów głębokości. Że do wspomnianego Iquitos dochodzą swobodnie parowce transatlantyckie do 6000 ton pojemności; a mogłyby tam dochodzić największe olbrzymy morskie, gdyby nurt był wytyczony.

Piasek i muł, które Amazonka wynosi rocznie do Atlantyku, mogłyby przykryć przestrzeń 100 klm. kw. (10 tysięcy hektarów) ławą wysokości 10 metrów. Okoliczność ta utrudniałaby niesłychanie komunikację z Amazonką, ale szczęściem istniejący u brzegów Południowej

Ameryki prąd morski, idący z południa na północ, odnosi większą część tego namułu dalej w ocean; mimo tego prądu woda w oceanie w odległości 300 klm. od ujścia, jest jeszcze słodkawa.

Długość Amazonki nie jest jeszcze ustalona; niektórzy geografowie podają ją na 5500 klm.; byłaby w takim razie trzecią rzeką na świecie co do długości, ustępując pierwszeństwa Missisipi i Nilowi.

Nie jest to zupełnie ścisłe. Pochodzi stąd, że w Peru, gdzie Amazonka bierze początek, panował zwyczaj ustalania nazw nowych po zlaniu się dwu rzek razem; i tak po zlaniu się Tambo i Urubamby, rzekę nazywają Ucayali, po zlaniu się S-ta Anny i Paucartambo nazywają rzekę Urubamba i tak dalej. Na tej zasadzie musielibyśmy Wisłę nazywać tak od zlanie się jej z Sanem, górną zaś część Wisły nazwać inaczej i t. p. Przyjąwszy jeden z górnych dopływów Ucayali za jej początek, a samo Ucayali za początek Amazonki, musielibyśmy do uznanej jej długości dodać około 1000 klm.

Cóż więc dziwnego, że wpływając do tej królowej rzek świata, czuje się człowiek trochę oszołomiony i wzruszony i że to wzruszenie udziela się wszystkim na parowcu.

Po godzinie zaczęły nam majaczyć na prawo odległe jeszcze brzegi wyspy Marajó; wyspa ta posiada 49 tysięcy klm. kw. to znaczy, że jest większa od Szwajcarji.

Ujście południowe Amazonki, znacznie płytsze od północnego, służy prawie wyłącznie do komunikacji z rzeką; północne bowiem posiada dla żeglugi niezwykłe utrudnienie w postaci tak zwanej *pororoca*. Jest to objaw specjalnie charakterystyczny dla Amazonki; potęga wód tej rzeki odrzuca przy ujściu wody oceanu na wiele kilometrów. Nawet podczas przypływu, woda morska nie dostaje się do koryta rzeki, jak to ma częstokroć miejsce na świecie. Jednakże na kilka dni przed nowiem i w kilka po nowiu, silniejsze przypływy oceanu spiętrzają wody Amazonki odrzucając je jakby z powrotem. Stwarza to 3—4 olbrzymie, wysokie na kilka metrów fale, które idą w odwrotnym kierunku do biegu rzeki, zalewając i niszcząc po swojej drodze wszystko. Fale te na głębszych miejscach rzeki jakby zniżają się i rozpływają w olbrzymiej masie wody. Na miejscach płytszych, które przechodzą, wyrastają w sposób fantastyczny, tworząc nieraz wał wodny wysokości 10 — 12 metrów. Najwyższe napięcie tego objawu pojawia się w 2—3 godziny po rozpoczęciu przypływu. Wody rzeki zostają w ten sposób zniwelowane z poziomem oceanu i z tą chwilą zaczynają stopniowo ustępować. Zasięg pororoki dociera na blisko 200 klm. wgłąb Amazonki, utrudniając żeglugę i stwarzając niebezpieczeństwo przedewszystkiem dla statków zakotwiczonych. *Pororoca*, jak już powiedzieliśmy, prawie zupełnie nie daje się odczuwać w kanale południowym, gdzie woda piętrzy się zaledwo na dwa metry.

Wspomnienia te i chwile emocji przerwała burza. Zerwała się niewiadomo skąd; niebo pokryło się w mgnieniu oka chmurami, a wiatr przyniósł gwałtowny poszum idącej na nas ulewy. W parę minut lać się zaczęły potoki wody, jakie oglądać można jedynie pod zwrotnikiem. Trwało to godzinę. W końcu musiały się wyczerpać upusty niebieskie. Ulewa urwała się raptownie.

Zciemniło się tymczasem zupełnie. Chmury gdzieś znikły. Niebo się wyiskrzyło. Mijaliśmy w tej chwili pływającą latarnię morską.

Przed świtem byliśmy na redzie Belem, stolicy stanu Parà i głównego portu Amazonki. Parowiec rzucił kotwicę, miał tu oczekiwać na wizyty władz sanitarnych i portowych. W oddali migotały jeszcze światła nad miastem.

Powoli robiło się widno. Za chwilę pierwsze promienie wschodzącego słońca przeszyły powietrze. Zagrały barwy; zaszkliły się w znikających oparach spokojne wody rzeki. Na lewo, zasnute mgłą, widniało miasto. Bliżej, widnokrąg zamykały wyspy, pokryte zwartą, bujną gęstwiną leśną, która odtąd ciągnąć się będzie nieprzerwanym całunem aż po stoki Andów na tysiące kilometrów wzdłuż i wszerz kontynentu amerykańskiego.

Ten nie mający sobie równego system wodny, który rozpościera się aż po same prawie brzegi Oceanu Spokojnego, obejmuje, licząc, jedynie większe dopływy Amazonki, przeszło 50 tysięcy kilometrów żeglownych dróg wodnych. Wody te żłobią swe koryta w urodzajnych namułach, pomiędzy nieprzebranym bogactwem skarbów leśnych. Cały ten kraj, mało znany, oszczerczo szkalowany do niedawna, mimo swego piękna nie budził dotychczas zainteresowania szerszych mas ludności europejskiej. Przyjdzie jednakże i nań kolej.

Czy Polacy wezmą udział w jego gospodarczej ewolucji?

Pierwsza ekspedycja badawcza polska w roku 1928 dotarła w głąb tego terytorjum na przeszło 6000 kilometrów.

Polskiej energji i przedsiębiorczości zawdzięcza Manaos, największe miasto w środku prawie tego olbrzymiego terytorjum, wspaniałe swe urządzenia portowe pomysłu i wykonania inżyniera B. Rymkiewicza. Obyśmy idąc śladem tych pierwszych pionierów myśli i pracy polskiej nie zaniedbali zająć należne nam miejsca przy narodzinach gospodarczego rozkwitu tego ciekawego i bogatego kraju.

K. Warchałowski.

Nad jeziorem Michigan i nad Ivahy, w Mandżurji i Jugosławji, w Argentynie i Australji — słowem wszędzie, gdzie znajduje się większa lub mniejsza kolonja polska, winno być obchodzone Święto Morza Polskiego.

Zagadnienie kolonizacji zamorskiej w dobie obecnej

(artykuł dyskusyjny)

Aczkolwiek zagadnienie kolonizacji zamorskiej niepokoi myśl polską od lat 40-tu (wyjazdy do Parany prof. Siemiradzkiego, Dygasińskiego, ks. Chełmickiego i innych w ostatnim dziesiątku lat ubiegłego stulecia), jednakże o naszym dorobku w tej dziedzinie możemy mówić dopiero teraz.

Stosunek społeczeństwa polskiego do osadnictwa za oceanem opierał się na czynnikach natury emocjonalnej, bądź nieliczących się z trudnościami każdej akcji kolonizacyjnej na terenach dziewiczych, bądź potępiających w czambuł tereny osadnicze ze względu na zagrożenie jakoby przez emigrację narodowego stanu posiadania w Polsce.

Nie mówiąc o dawniejszych czasach, ostatnia większa fala wychodźtwa polskiego do Parany w latach 1911—12 wywołała niezwykłe roznamiętnienie w opinji społeczeństwa. Owczesne czynniki postępowe zajęły w stosunku do emigracji do Parany stanowisko pozytywne a tak zwane czynniki zachowawcze uznały wychodźtwo do Parany za klęskę narodową i w prasie przeciwstawiły się mu w sposób stanowczy.

Praktycznego znaczenia spory ówczesne nie miały. Kierownictwo bowiem polityką emigracyjną do czasów wielkiej wojny znajdowało się poza granicami Polski: w stolicach państw zaborczych i siedzibach central linij okrętowych, które siecią swoich agentów pokryły wszystkie ziemie polskie.

Po wojnie, aż do przewrotu majowego, sytuacja w Polsce na odcinku emigracyjnym nie uległa poważniejszym zmianom.

Energję społeczeństwa pochłaniała odbudowa zniszczonych przez wojnę gałęzi produkcji i dlatego wysiłek w kierunku ujęcia w karby naszego zamorskiego ruchu emigracyjnego ograniczył się do niewielkiego zespołu osób, grupujących się w Polskiem T-wie Emigracyjnem.

Najwydatniejszą próbą, przed przewrotem majowym, pchnięcia polityki emigracyjnej na nowe tory była w roku 1924 akcja ówczesnego redaktora „Wychodźcy" i późniejszego Radcy Emigracyjnego na Amerykę Południową, mająca na celu wprowadzenie monopolu sprzedaży kart okrętowych.

Złożono wówczas odpowiednie memorjały w Urzędzie Emigracyjnym i Ministerstwie Spraw Zagranicznych, przeprowadzono intensywną akcję w prasie i doprowadzono do międzyministerjalnej konferencji w wymienionej sprawie.

Zainteresowanie kwestją monopolu wytworzyło się duże.

„Ekspress Poranny" z dn. 22 list. 1924 r. uważał, iż „W chwili, gdy ma nastąpić odnowienie koncesyj na sprzedaż kart okrętowych, rząd powinien bezwzględnie i stanowczo odmówić tego przywileju biurom okrętowym. Przyznać go zaś czynnikom społecznym, które mają za cel opiekę nad emigrantem".

„Kurjer Polski" z dn. 27 list. 1924 r. pisał: „Jedynem lekarstwem na taki wyzysk mogłoby być powierzenie prawa sprzedaży biletów

okrętowych jakiejś instytucji społecznej, któraby nie traktowała tej funkcji jako wyłącznie dochodowego zajęcia. Mamy pod tym względem piękny przykład (przedwojennego) T-wa Emigracyjnego w Krakowie".

„Stołeczny Kurjer Wieczorny" z dnia 25 list. 1924 r. twierdził, że „Idealnem wyjściem byłoby zatrzymanie sprzedaży kart okrętowych w ręku rządu".

Natomiast „Gazeta Poranna 2 Grosze" z dnia 27 list. 1924 r. skłaniała się bardziej ku myśli powierzenia sprzedaży kart okrętowych instytucji społecznej: „Czy nie należałoby obecnie przed odnowieniem koncesji przez towarzystwa żeglugi pomyśleć o tem, by wyłączne prawo sprzedaży kart należało do cieszącej się zaufaniem ogółu polskiej instytucji społecznej".

„Rzeczpospolita" w Nr. 330 z końca listopada 1924 r. poparła stanowisko „Gazety Porannej 2 Grosze" a pozostałe pisma, jak „Gazeta Warszawska", ustosunkowały się tak samo pozytywnie do idei monopolu sprzedaży kart okrętowych.

Natomiast na konferencji międzyministerjalnej sprawa przyjęła inny obrót.

Ówczesny dyrektor departamentu handlowego znany ekonomista, p. Tennenbaum, uważał, iż zasada monopolu sprzedaży kart okrętowych znajduje się w sprzeczności z naszemi traktatami handlowemi, a przedewszystkiem belgijskim i spowodował oświadczenie przedstawiciela M. S. Z., iż ze względu na istniejące traktaty zasada monopolu nie może być przyjęta przez czynniki urzędowe, przekreślając tem samem pierwszą poważniejszą próbę aktywności naszej w dziedzinie emigracji.

Do idei ujęcia we własne ręce sprzedaży kart okrętowych powrócono w r. 1929 po objęciu Dyrekcji Urzędu Emigracyjnego przez p. Bolesława Nakoniecznikoffa w formie nieco odmiennej, niż w r. 1924, bo polegającej na stworzeniu organizacji handlowej z udziałem linij okrętowych. Organizacja taka, powstała dnia 10 stycznia 1930 roku pod nazwą Syndykatu Emigracyjnego, (w którym Rząd posiada większość udziałów), zmonopolizowała cały ruch zamorski, ale pogłębiający się stale kryzys i związany z nim gwałtowny spadek emigracji uniemożliwiły narazie osiągnięcie tych rezultatów finansowych, jakich od Syndykatu oczekiwano.

Gdyby w r. 1924 dano posłuch pionierom aktywnej polityki emigracyjnej, dążącym już wówczas do pozostawienia linjom okrętowym jedynie prawa przewozu emigrantów i skoncentrowania sprzedaży biletów jazdy w jednem biurze bądź rządowem, bądź prywatnem pod kontrolą rządu, planowe kierowanie emigracji zamorskiej rozpoczęłoby się o szereg lat wcześniej i o tyleż lat wcześniej agent emigracyjny przestałby być głównym czynnikiem naszej polityki w tej dziedzinie.

Jak wiadomo, każdej linji okrętowej chodziło i chodzi o przewiezienie maximum pasażerów. Inne sprawy, związane z bytem emigrantów, ich nie obchodzą. Dlatego każda linja posiadała sieć naganiaczy, płatnych od głowy każdego dostarczonego emigranta i wysyłała emigrantów, gdzie się da i ile się da.

Faktyczne odebranie prawa sprzedaży kart linjom okrętowym nietylko automatycznie usunęło agenta z życia emigracyjnego, ale ponadto umożliwiło prowadzenie polityki cen, wywierających coraz

większy wpływ na natężenie ruchu emigracyjnego i same możliwości kolonizacji zamorskiej.

Polityka powojenna wszystkich państw europejskich szła i nabranym rozpędem idzie w kierunku zapewnienia emigrantowi maximum wygód na statku podczas podróży.

Rezultaty osiągnięto zdumiewające.

Na statkach nowszych trzecia klasa prezentuje się częstokroć lepiej, niż przed laty dwudziestu klasa druga, np. na Atlantique'u, spalonym w roku zeszłym, wygody w klasie III-ciej były większe, niż w klasie II-giej, na „Frisia" którą odbyłem pierwszą swoją podróż morską w r. 1910, ale za przejazd klasą II-gą zapłaciłem wówczas 14 funtów angielskich, to jest około 70 dol., kiedy dzisiaj klasa III kosztuje minimalnie 107 dol., czyli kwotę, przy dzisiejszym spadku cen na ziemię i inwentarz uniemożliwiającą prawie rolnikom wyjazd za ocean.

W tych warunkach Syndykat Emigracyjny podjął w początkach 1932 roku akcję w kierunku obniżki cen na karty okrętowe i osiągnął, ale wyłącznie dla rodzin osadniczych, udających się na rolę w Ameryce Południowej, kwotę 75 dol. od osoby, czyli zniżkę przeszło 25%, dotychczas obowiązującej ceny.

Rzecz jasna, że gdyby w Urzędzie Emigracyjnym w r. 1924 idea monopolu sprzedaży kart okrętowych znalazła więcej zrozumienia, sytuacja w dziedzinie emigracji zamorskiej wyglądałaby zgoła odmiennie.

Co się okazało możliwe w r. 1930, było do zrealizowania i w roku 1924. Dwa — trzy lata wystarczyłyby na rozbudowę organizacji, nagromadzenie funduszów i ewentualne ich zużytkowanie na racjonalną kolonizację.

Od roku 1924 jesteśmy świadkami stałego a szybkiego wznoszenia się fali ruchu emigracyjnego do Ameryki Południowej, który w r. 1929 osiągnął swoje maximum, dochodząc do 35 tys. osób. Licząc tylko 15 dol. opłaty od biletu, jeden rok 1929 dałby 525 tys. dol. dochodu brutto i co najmniej około 200 tys. dol. netto, czyli sumę, wystarczającą aż nadto na nasze bieżące potrzeby kolonizacyjne. Ponadto instytucja monopolistyczna i rozporządzająca odpowiedniemi środkami finansowemi, mogłaby zapoczątkować organizację przejazdów kredytowanych, ułatwić znakomicie ewentualne zorganizowanie polskiej żeglugi i t. p.

Przyjazna jednak atmosfera dla powyższych postulatów wytworzyła się dopiero w latach 1929-30 a realizacja ich przypadła na okres kryzysowy, niesprzyjający żadnym nowym poczynaniom. I dlatego dotychczas nie nastąpiło powiązanie między transportem emigrantów a osadzaniem ich na roli za oceanem. Każde z tych zagadnień, prawie organicznie ze sobą związanych, było i jest rozstrzygane osobno. Nasza akcja kolonizacyjna poszła w kierunku bądź tworzenia instytucyj kolonizacyjnych w kraju, bądź udzielania zezwolenia na werbunek przedsiębiorstwom zagranicznym.

Z przedsiębiorstw zagranicznych w danym momencie wchodzą w grę:

1) Paranà Plantations w stanie Parana w Brazylji, oraz
2) Palacio i Zuckerman w prowincji Cordoba w Argentynie.

Towarzystw krajowych jest, względnie było, trzy:
1) Towarzystwo Kolonizacyjne,
2) Spółdzielnia Kolonja Polska
3) Polsko-Amerykański Syndykat Kolonizacyjny we Lwowie.

Z Paranà Plantations (lord Lovat), posiadającej na północy Parany 1.200.000 hektarów ziemi oraz linję kolejową z Ourinhos do Jatahy, długości blisko 200 kilometrów, pertraktacje prowadzone w roku zeszłym rozbiły się o warunki kolonizacji. W roku bieżącym zostały wznowione z inicjatywy Paranà Plantations i prawdopodobnie zostaną zakończone pozytywnym rezultatem, to jest udzieleniem wymienionej imprezie pozwolenia na werbunek osadników Polsce.

Kolonizację Palacio i Zuckerman w Cordobie przekreśliła już w znacznej mierze akcja prasowa „Niezależnego Kurjera Codziennego w Argentynie".

Wogóle powodzenie, względnie niepowodzenie, akcji kolonizacyjnej, szczególnie w początkach, zależy od wielu różnolitych i częstokroć nieuchwytnych czynników, które niezawsze można przewidzieć.

W osadnictwie południowo - amerykańskiem, odbywającem się w warunkach zgoła odmiennych od europejskich, czynnik psychiczny odgrywa nieraz rolę decydującą o powodzeniu lub załamaniu się akcji kolonizacyjnej.

Emigrant, przyjeżdżając do któregokolwiek kraju Ameryki Południowej, napotyka inną glebę, inną naogół roślinność i inne warunki wegetacji.

Swieżo po przyjeździe nic emigrantowi się nie podoba a wszystko przeraża.

Dlatego, kolonizując w nowych stronach, należy zaczynać od założenia chociażby niewielkiego osiedla, złożonego z emigrantów tejże samej narodowości, ale znajdujących się od paru lat na terenie: otrzaskanych z miejscowemi warunkami. W przeciwnym razie las, którego jeden hektar z łatwością oczyszcza tubylec w Cordobie lub Tucumanie w ciągu dni 30-tu, może stać się niezwyciężoną zaporą dla świeżego przybysza z Europy.

Tak samo każde niedopatrzenie przy selekcji emigrantów powoduje z punktu szereg komplikacyj bardzo trudnych do usunięcia, jak to można zaobserwować przy wszystkich polskich kolonizacjach.

Po pertraktacjach, przeprowadzonych w maju roku zeszłego w Warszawie (p. Zuckerman przyjechał na nie umyślnie z Argentyny), wydano firmie Palacio i Zuckerman koncesję na werbunek osadników w Polsce, w której to koncesji punkt 6-ty głosi:

„W wypadkach, gdyby osadnik odstąpił od eksploatowania działki lub zobowiązań wobec Przedsiębiorstwa nie dotrzymał, Przedsiębiorstwo zobowiązuje się na miejsce tegoż osadnika przyjąć innego odpowiedniego osadnika polskiego, sprowadzonego z Polski, względnie z innego kraju z tem, że ten nowy osadnik korzystać będzie ze wszystkich wpłat i inwestycyj poniesionych przez osadnika poprzedniego. Zasady i tryb postępowania w takich wypadkach ustalone będą w porozumieniu Przedsiębiorstwa z Radcą Emigracyjnym przy Poselstwie Polskiem w Buenos Aires".

Na mocy punktu 12-go wymienionej koncesji zezwolenie na werbunek może być cofnięte w każdej chwili, „skoro tylko się okaże, że dalsza akcja z uwagi na interesy osadników jest niewskazana".

Z powyższego wynika, że na ucieczce lub niedojechaniu osadników do miejsca kolonizacji przedsiębiorstwo nic nie zarabia, że pierwsze lepsze niedociągnięcie jego strony może spowodować natychmiast cofnięcie koncesji i że pokrycie wydatków, poniesionych na podróże do Europy, na uzyskanie zwolnienia osadników od opłat wizowych w wysokości 33 dol. od osoby, na przygotowania do akcji kolonizacyjnej i na propagandę w Polsce, może nastąpić jedynie w razie niezałamania się samej akcji, czyli że w powodzeniu kolonizacji najbardziej zainteresowaną jednostką jest samo przedsiębiorstwo.

Emigrant, wyjeżdżający z Polski, po opłaceniu zadatku w wysokości 10 pesów (1 peso – 2 zł.) od ha (może zadatkować tylko połowę działki, wynoszącej 33 ha) i 120 pesów na inwentarz żywy, żadnych innych opłat na rzecz przedsiębiorstwa w ciągu pierwszych dwuch lat nie czyni i zatem ma dość czasu na przekonanie się o możliwościach egzystencji i widokach na przyszłość.

Dotychczas na kolonizację w Cordobie wyjechało dwa transporty osadników: jeden — składający się z dwuch rodzin i drugi — z pięciu.

Jeden z kandydatów na osadnika w pierwszym transporcie, B. znający już Argentynę i mówiący dobrze po hiszpańsku, wyzyskał udogodnienia wizowe, dostępne tylko dla osadników, wyłącznie w celu przedostania się do Argentyny. Po przyjeździe do Cordoby podburzył swego współtowarzysza drogi, wymógł na Zuckermanie zwrot pieniędzy dla obydwuch za inwentarz i koszty wyjazdu na kolonję, podpisał zrzeczenie się wszelkich pretensyj i urządził się w Argentynie na własną rękę.

Dopiero po fakcie i to od osób trzecich dowiedziało się Poselstwo o losach pierwszej partji osadników. Pomimo zadatku na ziemię, który pozostał u Zuckermana i który w myśl warunków koncesji bynajmniej nie stał się własnością przedsiębiorstwa, p. B. zarobił na czysto kilkaset pesów (oszczędność na kosztach wizy i biletu okrętowego jednej tylko osoby wynosi 33 + 32 = 65 dolarów). Oczywiście, opuszczenie kolonji przez pierwszych osadników po dwuch dniach pobytu rzuciło na kolonizację pewien cień, ułatwiający żerowanie różnym niebieskim ptakom, których w Argentynie jest więcej, niż w każdym innym ośrodku wychodźczym.

Jeden z nich zgłosił się do Zuckermana w styczniu roku bieżącego z żądaniem 10 tys. pesów gotówką oraz opłacania $2^1/_2$ pesa od każdego skolonizowanego hektara. Zuckerman odmówił a w parę dni później rozpoczęła się intensywna akcja przeciwko przedsiębiorstwu.

W tych warunkach następny transport, składający się z 5-ciu rodzin, odmówił po przyjeździe do Buenos Aires wyjazdu na kolonję i pozostał w hotelu imigracyjnym.

Wyjściem z sytuacji byłoby stworzenie niewielkiego osiedla z emigrantów, znajdujących się już w Argentynie (o czem wspominałem poprzednio), któreby oddziaływało atrakcyjnie na świeżych przybyszów i ewentualne wznowienie osadnictwa z Polski za dwa lata. Wąt-

pliwem jest jednak, czy przedsiębiorstwo na to pójdzie i czy wobec dotychczasowych kłopotów nie zrezygnuje z elementu polskiego, a ściślej mówiąc z ukraińskiego, gdyż Zuckerman, sam pochodząc z Ukrainy, chciał ściągnąć do siebie element wyłącznie ukraiński.

Wogóle walka z opinją publiczną, słuszną czy niesłuszną, bardziej uzasadnioną czy mniej uzasadnioną, wytworzoną sztucznie czy drogą naturalną, kończy się przeważnie przegraną dla imprezy kolonizacyjnej i o ile niema jakichś szczególnych racyj, trudno jej się przeciwstawiać. Przykładem kolonizacja w Espirito Santo, zapoczątkowana w r. 1928.

Osadnictwo w Espirito Santo nigdy się nie cieszyło popularnością w Polsce. Sprawie tej poświęcono specjalne posiedzenie Zarządu Polskiego T-wa Emigracyjnego, z którego odgłosy przedostały się nawet na łamy prasy.

W numerze styczniowym „Morza" z roku 1929 w notatce p. t. „Polskie T-wo Emigracyjne za koncentracją wychodźtwa" czytamy między innemi: „Oto na posiedzeniu Zarządu P. T. E. w dniu 14 grudnia r. ub. redaktor „Wychodźcy" p. Pankiewicz postawił tezę koncentracji (w Paranie) tak silnie, że całe zebranie podzieliło jego poglądy i opowiedziało się za jego wywodami. Znalazł się jednakże niestety jeden głos contra..."

W Brazylji zaś opinja polska jednomyślnie wypowiedziała się przeciwko wszelkiej akcji w Espirito Santo, przeciwstawiając temu stanowi Paranę. Niewątpliwie egzystować w Espirito Santo można, za kolonizacją w wymienionym stanie przemawiał wówczas szereg poważnych racyj (np. niebywała spekulacja ziemią w Paranie), ale było to płynięcie przeciwko prądowi, którego przełamanie okazało się niepodobieństwem.

Polacy w Rio de Janeiro wydawali specjalne ulotki przeciwko Espirito Santo, namawiające do ucieczki do Parany i kolportowali je w hotelu imigracyjnym na Wyspie Kwiatów. Ściany hotelu zostały pokryte napisami w językach polskim i ukraińskim, malującemi stan rzeczy w Aguîa Branca w barwach przerażających. Wszystkich osadników po przyjeździe miała tam czekać śmierć. Nic dziwnego przeto, że emigrant, naczytawszy się tego wszystkiego, a czasami i nasłuchawszy się od członków kolonji polskiej w Rio de Janeiro, jechał do Espirito Santo z przerażeniem w duszy a przejechawszy ponadto ścieżką w dziewiczym lesie przeszło 50 kilometrów na mule, tracił odwagę do reszty. Na kolonji zaś znajdował atmosferę wrzenia, pełną narzekań i pretensyj do administracji.

Ucieczka z kolonji i odpływ do Parany przez stolicę stanu, Victorię i Rio de Janeiro nadawał każdemu wyjazdowi nawet jednej rodziny rozgłos nadmierny i utwierdzał przeciwników w ich walce z kolonizacją espirito-santeńską.

Poza wrogiem stanowiskiem kolonji polskiej brak doświadczeń własnych w dziedzinie kolonizacji oraz zmiana konjunktur w Polsce i Brazylji kolonizację espirito-santeńską postawiły pod znakiem zapytania.

T-wo kolonizacyjne powstało w r. 1925, a zarejestrowało się w marcu 1926 czyli w okresie młodzieńczym naszej polityki emigra-

cyjnej, kiedy nie zdawano sprawy z trudności akcji osadniczej a o pieniądze było stosunkowo łatwo. Przy pertraktacjach z zainteresowanemi resortami padały cyfry 5—7 miljonów ewentualnych subwencyj. Działalność T-wa rozwijała się bardzo powoli, torowanie dróg dla planowej akcji kolonizacyjnej, pomimo przychylnego stanowiska kompetentnych resortów, okazało się trudne i niewdzięczne. Miljony w dalszych rozmowach stopniały do setek tysięcy, a udziałowcy z biegiem czasu musieli podnieść kapitał zakładowy T-wa do 700 tys. złotych.

Poza koncesją w Espirito Santo, obejmującą 50 tys. ha, T-wo otrzymało drugą koncesję nad rzeką Piquiry w Paranie wielkości 80 tys. ha i w roku 1930 przed rewolucją październikową w Brazylji przystąpiło do robót mierniczych. Na skutek rewolucji nastąpiła przerwa w pracach, później przyszedł chroniczny brak środków, rwanie się roboty na wszystkich odcinkach i proces mierników w Paranie o zyski, które miały być ich udziałem i które w notatkach prasowych określono na 500 tys. milrejsów.

Inny nieco przebieg miała kolonizacja w Peru. Tam w roku 1927 dwie grupy polskie uzyskały fantastyczne z punktu widzenia europejskiego koncesje. Syndykat Kolonizacyjny Polsko-Amerykański we Lwowie otrzymał miljon hektarów z warunkiem osadzenia na ziemi 3 tys. rodzin, a grupa Warchałowskiego — 500 tys. ha z warunkiem osadzenia 1 tysiąca rodzin, przyczem Syndykat uzyskał od rządu peruwjańskiego bezpłatne przejazdy dla swoich osadników i były wszelkie dane do przypuszczenia, że rząd peruwjański udzieli bezpłatnych przejazdów również i drugiej grupie.

W r. 1928 dyrektor Dyrekcji Imigracji w Limie, p. Salazar, krewny ówczesnego prezydenta Leguii, dawał to wyraźnie do zrozumienia poszczególnym członkom polskiej ekspedycji badawczej. $1^1/_2$ miljona ha położonych nad wielką żeglowną rzeką; olbrzymie połaci lasów, nadających się do eksploatacji i mogące stać się stałem źródłem dochodów, oraz bezpłatne przejazdy od miejsca zamieszkania do miejsca osiedlenia, umożliwiające kolonizację elementem bezrolnym i małorolnym, zadecydowały o stanowisku ekspedycji, a następnie i resortów urzędowych w Polsce.

Rozpoczęła się kolonizacja w Peru, która jednakże nie przybrała większych rozmiarów ze względu na zmiany polityczne, które w międzyczasie nastąpiły w Peru. W roku 1930 wybuchła w Limie rewolucja, która obaliła rządy Liguii i zapoczątkowała długi okres wstrząsów, nieskończony po dziś dzień, jak tego niedawne zabójstwo prezydenta Sanchez Cerro dowodzi. Nie brakło też i epizodów tragi-komicznych, np. w ciągu jednego tygodnia zmieniło się cztery rządy i każdy z nich został obalony siłą. Były momenty, kiedy wystarczało mieć dziesiątek wiernych żołnierzy, ażeby zająć pałac prezydenta i móc rządzić chociażby przez kilka godzin pięciomiljonową republiką peruwjańską. W tych warunkach nie mogło być mowy o opłacaniu przez rząd peruwjański przejazdów naszych osadników.

Do Peru wyjechało ogółem około 144 osób, z czego 9 na tereny Polsko - Amerykańskiego Syndykatu Kolonizacyjnego, a reszta — na tereny grupy Warchałowskiego, przekazane spółdzielni „Kolonja Polska".

Wysokie koszty przejazdu (150 dol. od osoby), uniemożliwiające w dzisiejszych czasach wyjazd rodzin rolniczych oraz nieodpowiednia selekcja materjału ludzkiego w połączeniu z dużemi stosunkowo kosztami administracyjnemi doprowadziły spółdzielnię do konieczności ogłoszenia upadłości w r. 1932, a samą kolonizację peruwjańską skompromitowały w opinji publicznej.

Ze względu na wysokość kosztów transportu, kandydatów na wyjazd zgłaszało się bardzo niewiele, wobec czego zarząd spółdzielni nie stosował koniecznej przy wszelkiej kolonizacji selekcji i za niewielkiemi wyjątkami brał wszystkich zgłaszających się.

W rezultacie znaczną większość pionierów osadniczych tworzyli ludzie, nic wspólnego z rolnictwem niemający i przyzwyczajeni do życia wielkomiejskiego, jak kolejarze, urzędnicy kas chorych, tkacze łódzcy, synowie dyrektora dużej fabryki i nawet byli współwłaściciele większych firm handlowych. Swoim wyglądem zewnętrznym większość tych „rolników" niczem się nie różniła od przeciętnego urzędnika naszych ministerstw, a jeden przyjechał nawet z frakiem. Przeważnie byli to ludzie młodzi, żądni przygód i poznania świata, ale nie pracy na roli.

Przez pierwszych parę miesięcy po przyjeździe na kolonję, dopóki administracja zapewniała im utrzymanie—wszystko było w porządku. Sytuacja się zmieniła, kiedy trzeba było rozpocząć pracę. Wówczas osadnicy zbili prom i popłynęli w dół rzeki do miasta Iquitos, stolicy prowincji. Tam całą gromadą pięćdziesięciu kilku osób zalegli dziedziniec prefektury i wymogli na prefekcie (gubernatorze) przyznanie im na rachunek „Kolonji Polskiej" stałych pensyj w wysokości 70 centavos na osobę dorosłą i 40 centavos na dziecko (1 sol = 100 centavos = około 3 złotych w owym czasie). Zachowywali się przyzwoicie, bez awantur. Na groźby prefekta zamknięcia w więzieniu odpowiadali, że będą bardzo radzi, gdyż otrzymają za darmo mieszkanie i utrzymanie. Podczas pożaru jednego kinematografu 9-ciu z naszych wychodźców zaznaczyło się tak wybitnie przy ratowaniu, że rada miejska przyznała im nagrody pieniężne. Wszelkie jednak propozycje pracy, czynione przez prefekta, odrzucali zgóry, twierdząc, że stosownie do opinji ekspedycji badawczej i Radcy Emigracyjnego Pankiewicza Europejczycy nie mogą pracować fizycznie w Iquitos. Miasto nie wiedziało, co robić z tą gromadą Polaków, która w maju 1931 roku urosła do 68 osób. Bano się Polaków, ale pozatem, że nie chcieli pracować, nic nie można im było zarzucić. Prefektura zaś wysyłała do władz centralnych w Limie depeszę za depeszą, domagając się uregulowania sprawy. W połowie maja 1931 r. przyjechał Radca Emigracyjny i przez wpływ moralny osiągnął, że wszyscy przyjęli pracę, a po zorjentowaniu się w sytuacji, iż na dłuższą metę na zatrudnienie emigrantów liczyć nie można i że o powrocie na kolonję tego elementu mowy być nie może, załatwił sprawę przesiedlenia wszystkich do Brazylji.

Pokrycie kosztów utrzymania uciekinierów w Iquitos udało się podczas pertraktacyj z władzami centralnemi w Limie przerzucić na skarb peruwjański. W samej kolonji pozostało 40 osób z ks. Sokołem na czele. W ostatnich listach ci prawdziwi pionierzy naszego osad-

nictwa nad Ucayali domagają się albo otwarcia emigracji do Peru nanowo, albo przesiedlenia ich do Parany. Postulat całkowicie słuszny.

Kolonizacja w Peru może mieć rację bytu tylko pod warunkiem osadzenia tam paru tysięcy rodzin, mogących wytworzyć ośrodek własnego życia. Brak bezpłatnych przejazdów czyni to zadanie niemożliwem i dlatego nie pozostaje nic innego, jak przesiedlenie pozostałych kolonistów polskich w Peru do Parany.

Polsko-Amerykański Syndykat Kolonizacyjny we Lwowie, poza 9 osobami na kontrakty robotnicze, nie zdążył na szczęście więcej ludzi wysłać. Pomimo to utopił w Peru, jak twierdzi, około $1^1/_2$ miljonów złotych. Ludziom, przyzwyczajonym do stosunków europejskich, trudno uzmysłowić realną wartość puszczy dziewiczej w Południowej Ameryce. Miljon hektarów ziemi na odległość wygląda fascynująco i wiąże się w umyśle przeciętnego Europejczyka z miljonami złotych czy franków. Może być tych miljonów mniej czy więcej, ale zawsze będą to miljony. A skoro są to miljony — to czyż można oszczędzać grosze. I te grosze Syndykatu płynęły w takim pędzie, że urosły do jednego czy dwuch miljonów złotych, doprowadzając samą instytucję do bankructwa a koncesję do przekreślenia przez rząd peruwjański. Tymczasem realna wartość miljona hektarów nad Ucayali i nietylko nad Ucayali równa się zeru. Po osadzeniu trzech tysięcy rodzin koncesja mogłaby przedstawiać wartość miljonową, ale dopiero po osadzeniu tych rodzin. Błąd Syndykatu polegał na wydaniu miljona czy dwuch przed osadzeniem kolonistów,

Obydwie instytucje, nastawione na kolonizację w Peru, i spółdzielcza „Kolonja” i kapitalistyczny „Syndykat“ egzaminu nie zdały. Pozostało po nich sporo doświadczenia, pareset tysięcy długów w Peru i kraju, oraz garść osadników nad Ucayali, którzy swoją pracą wykazali, iż kolonizacja tamtych ziem elementem polskim jest możliwa.

Gdyby działalność obydwuch instytucyj znajdowała się na wysokości zadania, rezultat w zasadzie byłby ten sam — kolonizację w Peru trzeba byłoby zwinąć. Bez bezpłatnych przejazdów niepodobna jej prowadzić. Upadek Legui, jedynego człowieka, doceniającego ważność kolonizacji Montanji Peruwjańskiej i rozporządzającego środkami na tę kolonizację, przesądzał definitywnie w danym okresie losy osadnictwa polskiego w Peru.

Należyta sprawność Kolonji Polskiej i Syndykatu umożliwiłyby jedynie likwidację kolonizacji bez długów i hałasu dziennikarskiego oraz bez narażania na szwank prestige'u imienia polskiego w Peru.

Dorobek Towarzystwa Kolonizacyjnego, działającego w Brazylji, jest pod każdym względem pokaźniejszy.

T-wo poważnie i z dużą dozą zapału rozpoczynało i prowadziło swoje prace, przyczyniło się znacznie do uświadomienia i rozwiązania wielu kwestyj, związanych z zagadnieniem osadnictwa, i stworzyło kolonję, która się stale, acz powoli, rozwija.

Wszystkie dotychczasowe kolonizacje (zamiast zysków materjalnych czy moralnych) przyniosły straty i materjalne i moralne i to nawet w wypadkach, kiedy czynnikom zainteresowanym nie chodziło o zyski, względnie kiedy kwestję zysków stawiano na drugim planie.

Widocznie zatem w samem postawieniu akcji kolonizacyjnej znajdowały się jakieś braki organiczne, uniemożliwiające prawidłowy rozwój tej akcji.

Sądzę, że zaczęliśmy nie od tego końca. Przy posiadaniu wielkich środków materjalnych jest kwestją obojętną sprawa metod kolonizacji. Kapitał potrafi przezwyciężyć wszelkie przeszkody. Rozporządzając natomiast niewielkiemi środkami obrotowemi, trzeba zaczynać zawsze od terenów samorzutnej emigracji, powszechnie znanych i uznanych, czyli w danym wypadku od Parany w Brazylji i Missiones w Argentynie.

Praktyka z Espirito Santo i Peru wykazała, ile trudu, zachodów i pieniędzy kosztuje zdobycie jednego osadnika, który woli jechać do znanej mu Parany albo Argentyny. Zdecydowawszy się wreszcie na wyjazd, przyjeżdża do miejsca osiedlenia z uczuciem krzywdy, będącem stałem źródłem fermentu na kolonji i przyczyną późniejszej ucieczki. W tych warunkach każde najmniejsze niedociągnięcie administracji, brak lub nadmiar deszczów, takie czy inne niewygody urastają do rozmiarów plagi egipskiej i doprowadzają do systematycznego wrzenia i skarg na polską administrację do władz obcych.

Przy ewentualnej kolonizacji w Paranie lub Misiones nietylko odpada moment namowy emigranta do wyjazdu, ale ponadto unika się przeciwdziałania wrogiej propagandy, zatruwającej dusze nawet najbardziej wartościowych kolonistów i podrywającej ich tężyznę moralną— czynnik pierwszorzędnej wagi w każdej akcji kolonizacyjnej.

Wytworzenie w nowej kolonji odpowiedniej atmosfery moralnej jest niezbędnym warunkiem powodzenia osadnictwa. Na powstanie jej przy kolonizacji elementem europejskim potrzeba w warunkach przyjaznych minimum dwa lata czasu, a w mniej przyjaznych znacznie więcej. Emigrant powojenny po przyjeździe na kolonję ujawnia z reguły tendencję do życia na koszt instytucji kolonizacyjnej i nie kwapi się wcale do pracy. Natomiast osadnicy starzy nie liczą na pomoc, nie rozwodzą się nad tem, co zostawili lub stracili w Polsce i z całym zapałem zabierają się do cięcia lasu, budowy domu i t. p.

Na terenie Parany i Misiones często spotyka się młode małżeństwa, które bez żadnej pomocy ze strony rodziców potrafiły w ciągu dwuch lat zagospodarować się i są zupełnie zadowolone ze swego losu. W większości jednak wypadków synowie starych kolonistów rozporządzają pewnym zasobem gotówki i są w możności płacić za ziemię zgóry.

Nawiązawszy akcję osadniczą do samorzutnej akcji kolonizacyjnej starych kolonistów, zapewnia się trwałe podstawy finansowe dla osadzania elementu świeżo przybyłego, który ponadto wchodzi od chwili swego przybycia w atmosferę pracy i samozaradności. Przykładem rentowności kolonizacji elementem starym może służyć działalność przed kilku laty małej spółki parcelacyjnej w Paranie, która to spółka, nie rozporządzając żadnemi kapitałami, potrafiła założyć kolonję Queiroz i osadzić tam około 200 rodzin.

W ciągłych do niedawna fermentach na kolonji Orła Białego w Espirito Santo niepoślednią rolę odgrywała wysokość obciążeń kolonistów. Wysokość rat, które kolonista ma wpłacić na rzecz T-wa,

odbiega znacznie od poziomu cen w okolicy i to sprawiło, że koloniści parokrotnie zwracali się do władz brazylijskich z prośbą o przejęcie kolonji, mając nadzieję, iż w ten sposób należności ich automatycznie zostaną przekreślone.

W tym samym kierunku oddziaływa zadłużenie kolonistów, które w większości wypadków nie posiada charakteru produkcyjnego, ani też minimalnie niezbędnej pomocy w okresie do pierwszych zbiorów. Pomoc kredytowa naogół jest raczej czynnikiem demoralizującym, niż ułatwiającym zagospodarowanie się osadników, a po osiągnięciu pewnego stopnia wysokości, według wyrażenia się jednego z kolonistów w Aguia Branca, „spędza sen z powiek" i jest bardzo wątpliwym czynnikiem stabilizacji.

Zapewne wziąwszy pod uwagę koszty własne, nie można uważać opłat, ustalonych początkowo przez T-wo Kolonizacyjne (zostały one ostatnio poddane rewizji) za wygórowane, ale nasuwa się pytanie, czy wogóle tego rodzaju opłaty są celowe.

Przy biurku na papierze można bardzo łatwo ustalać wysokość rat do płacenia, ale dopiero na miejscu w kolonji widzi się, z jakiemi trudnościami jest połączone ściągnięcie najmniejszych kwot od kolonistów.

W każdej instytucji kolonizacyjnej wydatki z reguły mają tendencje do zwrotu a wpływy z reguły zawodzą. Sprawą zasadniczą w każdej kolonizacji jest stały dopływ elementu osadniczego. Otóż, jak dotychczas, nie znam ani jednego planu kolonizacyjnego, któryby się nie załamał na skutek zbyt małego dopływu osadników. A zatem jednym z warunków powodzenia akcji kolonizacyjnej jest opracowanie budżetu, bilansującego się przy każdym napływie emigrantów i tem samem niezależnego od zmiennych fluktuacyj fali emigracyjnej. Innemi słowy, budżet winien zawierać minimum wydatków stałych, a kierownictwo imprezy opłacać z osiągniętych zysków.

Dla takiego systemu kolonizacji ukułem specjalny termin *kolonizacji bez administracji.*

W samej rzeczy *efektywne* prace administracji kolonji na miejscu sprowadzają się zwykle do:

a) wymierzenia działek i budowy niezbędnych dróg,

b) dostarczenia pomieszczenia świeżo przybyłym osadnikom,

c) prowadzenia sklepu z artykułami pierwszej potrzeby i ew. kredytowania żywienia do pierwszych zbiorów,

d) dostarczania nasion, sadzonek, inwentarza żywego i martwego.

Sklep w Ameryce Południowej jest pozycją wszędzie wybitnie dochodową. Może zatem i powinien być zorganizowanym w najgorszym razie na zasadach samowystarczalności a w lepszym razie winien przynosić zyski.

Nasiona, sadzonki, inwentarz żywy i martwy kolonista może nabywać sam i po cenie niższej, niż za pośrednictwem administracji.

Dla pokazania wybranej działki ziemi i zaznajomienia z miejscowemi metodami uprawy roli nie potrzeba żadnych administratorów. Wystarczy dla tych funkcyj stary doświadczony kolonista, który, otrzymawszy jedną lub dwie działki ziemi za darmo, chętnie podejmie się wymienionej pracy i nauczy nowych przybyszów więcej, niż tak zwana

administracja, której funkcje sprowadzają się przeważnie do użerania się z kolonistami.

Budową najniezbędniejszych dróg, oraz tymczasowego taniego schroniska należy obarczyć miernika, którego przy dzisiejszych konjunkturach w Ameryce Południowej można opłacać w miarę sprzedawania wymierzonych działek ziemi, zwracając jedynie koszta budowy dróg i schroniska. Zresztą teren powinien być tak wybrany, ażeby wydatki na budowę dróg były minimalne.

Całą administrację zatem można sprowadzić do jednej osoby, mającej biuro w stolicy prowincji, np. w Kurytybie, robiącej propagandę, sprzedającej wymierzoną ziemię, pobierającej opłaty i prowadzącej nieskomplikowaną rachunkowość.

W miarę postępów kolonizacji i zwiększania się dochodów można aparat administracyjny odpowiednio rozbudować, ale zawsze w miarę tylko efektywnych czystych zysków.

Przy zmniejszeniu wydatków administracyjnych do minimum, ceny działek można wyznaczyć stosunkowo niskie i przyspieszyć przez to znacznie tempo akcji kolonizacyjnej — czynnik decydujący w każdej kolonizacji.

W końcu brak administracji ułatwia wytworzenie się w kolonji odpowiedniej atmosfery moralnej, będącej, jak wspomniałem, niezbędnym warunkiem powodzenia akcji kolonizacyjnej. Przy braku administracji kolonista nie ma przed kim biadać, od kogo oczekiwać pomocy i opieki, musi sam dbać o siebie i bierze się odrazu do pracy.

Jak z dotychczasowych rozważań wynika, każda instytucja kolonizacyjna, założona w kraju a pracująca po drugiej stronie oceanu, musi zakończyć bankructwem. Jedynie instytucje, mające swoją siedzibę w miejscu i ściśle przestrzegające zasad, wyłuszczonych powyżej a opartych na bezpośredniej obserwacji naszych i obcych poczynań kolonizacyjnych, mogą liczyć na powodzenie i rozwój. Zarodkami tego nowego podejścia do zagadnienia kolonizacyjnego są spółki „Vistula" w Missiones i Polsko-Parańska Spółka Kolonizacyjna w Paranie.

Szczególnie dobre warunki rozwoju posiada „Vistula", mogąca czerpać osadników z wielotysięcznego wychodźtwa polskiego, rozproszonego po całej Argentynie. W „Vistuli" stałe wydatki administracyjne zostały zredukowane do 50 pesów arg. miesięcznie na buchaltera.

Rozwój tych spółek leży w interesie kraju, gdyż za ich pośrednictwem najtaniej i najdogodniej można będzie lokować osadników za oceanem.

Rzecz jasna, że uzupełnieniem logicznem instytucyj kolonizacyjnych miejscowych musi być na terenie kraju organizacja transportowa, to jest Syndykat Emigracyjny, który, wykonywując swoje funkcje zawodowe, czyni jednocześnie zbytecznem tworzenie przez towarzystwa kolonizacyjne zamorskie specjalnego aparatu w Polsce, pod którego ciężarem te towarzystwa musiałyby się załamać.

Na oferty kolonizacyjne przedsiębiorstw zagranicznych lub właścicieli terenów w Ameryce Południowej poza sporadycznemi wypadkami, będącemi wynikiem specjalnego zbiegu okoliczności, liczyć nie można. Każda impreza tego rodzaju chce zrobić interes, chce wiedzieć, ile rodzin rocznie lub miesięcznie może z Polski otrzymać. Ponie-

waż tego rodzaju zapewnienia nikt dać nie może a normalna suma kłopotów i przykrości wszelkiego rodzaju aż do *szantażu* włącznie jest nieograniczona, przeto po jednym lub drugim jaskrawym przykładzie zowodu żadnego właściciela terenu nie uda się skłonić do złożenia oferty a tembardziej do przyjazdu do Polski. Pozostanie wówczas możność prowadzenia kolonizacji tylko na drodze zakupu odpowiednich terenów lub zrezygnowania wogóle z aktywnej polityki w tej dziedzinie. I dlatego wszelkie wysiłki kolonizacyjne miejscowych czynników polskich w Brazylji i Argentynie zasługują na jak najżywsze poparcie.

Zagadnieniom, wyłuszczonym w niniejszym artykule, poświęciłem między innemi specjalny referat (rozesłany do szeregu instytucji społecznych i kolonizacyjnych) z dnia 6 listopada 1931 r., który zakończyłem następującemi uwagami:

„Swojemi słowy i spostrzeżeniami nie mam zamiaru nikogo oskarżać, ani też nikomu nie chce czynić przykrości. Jako jeden z aktywnych działaczy na polu emigracyjnem od szeregu lat, ponoszę również swoją część odpowiedzialności za taki a nie inny układ stosunków emigracyjnych. Uczyliśmy się i ciągle jeszcze uczymy się wszyscy, dobrej woli w środowisku emigracyjnem nie brak i dlatego nie wątpię, że z chwilowych trudności i kłopotów myśl emigracyjna polska wybrnie zwycięsko.

Obserwując środowiska obce, odnoszę wrażenie, że myśl polska pracuje nietylko intensywniej, ale i uczciwiej od myśli emigracyjnej w środowiskach innych narodowości".

Opinję podobną wyraził podczas niedawnego pobytu w Warszawie p. Thomas, reprezentant T-wa Paranà Plantations, który w rozmowie ze mną, wyraził się, że w Polsce spotkał się z największem zrozumieniem zagadnień emigracyjnych i że tutaj również znalazł wszystkie elementy, niezbędne dla aktywnej polityki emigracyjnej.

Michał Pankiewicz

Morze i kolonje — to przyszłość Polski! Składajcie ofiary na fundusz morski i fundusz kolonjalny Ligi Morskiej i Kolonjalnej. Ofiary kierować należy pod adresem Ligi Morskiej i Kolonjalnej w Warszawie, ul. Nowy Świat 35.

Liga Morska i Kolonjalna

Liga Morska i Kolonjalna, jedyna w Polsce organizacja społeczna, jednocząca szerokie rzesze obywateli, doceniających znaczenie morza dla Polski, w październiku roku bieżącego obchodzić będzie 15-lecie swego istnienia. Zawiązana w Warszawie jeszcze za czasów okupacji niemieckiej, w roku 1918, przez grono marynarzy byłych państw zaborczych pod nazwą „Bandera Polska", przechodziła następnie różne fazy organizacyjne, zmieniała kilkakrotnie swą nazwę (Liga Żeglugi Polskiej, Liga Morska i Rzeczna), rozszerzała zakres swych zainteresowań, aż wreszcie dzisiaj wewnętrznie skonsolidowana, na zewnątrz legitymująca się konkretnym programem działania, mając na czele swym, jak i na wszystkich szczeblach organizacyjnych, ludzi, gorąco oddanych sprawie, staje na progu nowej działalności. Z programem swoim idzie w masy, pragnąc je pozyskać do współdziałania. Pragnie zrzeszyć pod swemi sztandarami także polskie wychodźtwo, rozproszone po całym świecie, wychodzi bowiem z założenia, że wielkie i szczytne hasła pracy dla rozwoju i potęgi Ojczyzny są bliskie sercu każdego Polaka, bez względu na szerokość czy długość geograficzną, pod którą on przebywa.

Zwłaszcza czasy obecne, w których jesteśmy świadkami odradzania się drapieżnej zaborczości zachodniego sąsiada kiedy ręce jego wyciągają się ku ziemiom nadmorskim Polski, — nakładają na nas obowiązki specjalne. W takiej chwili każdy Polak musi być nietylko żołnierzem, który jutro — być może — przywdzieje mundur i z bronią w ręku będzie musiał odpierać zakusy wroga na swą wolność, ale także powinien być ambasadorem swej słusznej sprawy. Na fałsze, celowo przez wroga propagandę rozsiewane, musi odpowiadać czujnie i odważnie szerzeniem prawdy. Światło jest bowiem wrogiem ciemności. Krety, podkopujące się pod pokój, którego błogosławieństwo ludzkość po ostatniej wojnie potrafi doceniać, muszą przed niem ustąpić.

Działalnością swoją Liga Morska i Kolonjalna obejmuje cały obszar Rzeczypospolitej Polskiej i w sposób zgodny z warunkami miejscowemi — tereny zagraniczne, zwłaszcza zamieszkałe przez mniejszość polską, lub przez polskie wychodźtwo.

Cele statutowe Ligi Morskiej i Kolonjalnej — nowy statut tej organizacji określa, jak następuje (art. 3):

Liga Morska i Kolonjalna zmierza do następujących celów:

1) uświadamia społeczeństwo o korzyściach, płynących z racjonalnego wykorzystania morza i wód śródlądowych, oraz z racjonalnego wykorzystania dla Polski — polskiego wychodźtwa zagranicą, a w szczególności wychodźtwa zamorskiego,
2) zasilania funduszami, uzyskanemi z publicznych zbiórek, akcji obrony morskiej i akcji kolonjalnej,
3) podniesienia rozwoju i jaknajszerszego spopularyzowania wiedzy z zakresu ojczystych spraw morskich, żeglugi śródlądowej, oraz spraw kolonizacyjnych i kolonjalnych,
4) organizowania sił i środków dla stworzenia i utrwalenia podstaw realnej pracy społecznej w kierunku wyzyskania wymienionych w pkt. 1) korzyści — dla dobra Narodu i Państwa, a to przez:

a) czynne współdziałanie w utrwaleniu polskiego dostępu do morza i w jego obronie, rozbudowie — przedewszystkiem marynarki wojennej, żeglugi morskiej i marynarki handlowej, portów morskich i ich urządzeń, handlu morskiego i rybactwa, oraz przemysłu z żeglugą morską związanego (sprawy morskie),
b) takież współdziałanie w rozbudowie dróg wodnych śródlądowych, a więc w regulacji rzek i budowie sztucznych dróg wodnych, łącznie z pracami meljoracyjnemi i elektryfikacji kraju, w podniesieniu eksploatacji dróg wodnych śródlądowych (sprawy żeglugi śródlądowej),
c) wychowanie wodne społeczeństwa, a w szczególności młodzieży, zarówno wychowanie moralne, jak i fizyczne (sport wodny i turystyka), na wodach śródlądowych i na morzu (sprawy wychowania wodnego),
d) utrzymanie ścisłego kontaktu z wychodźtwem polskiem w zakresie jego życia narodowego, kulturalnego i gospodarczego, pozyskanie terenów zamorskich dla zapewnienia narodowi polskiemu nieskrępowanej ekspansji ludzkiej i gospodarczej i wreszcie koncentrację wychodźtwa polskiego na obczyźnie (sprawy kolonjalne).

Jak z tego widać, organizacja tkwi swemi podstawami głęboko w sferze najbardziej istotnych zainteresowań państwowych. Każdy obywatel znajduje w niej pole do szerokiej działalności.

Członkowie Ligi Morskiej i Kolonjalnej dzielą się na: honorowych, dożywotnich, protektorów, opiekunów, rzeczywistych (zwyczajnych i popierających) oraz zbiorowych. Organizacja Ligi dostosowana jest do administracyjnego podziału Państwa na powiaty i województwa.

Dziś Liga Morska i Kolonjalna liczy około 500 oddziałów, rozsianych po całej Polsce, w których zrzeszonych jest blisko 100.000 członków. Liczba członków i sympatyków Ligi wśród Polonji zagranicznej sięga kilku tysięcy osób, zrzeszonych w 35 kołach Przyjaciół Ligi Morskiej i Kolonjalnej. Dążeniem władz Ligi będzie nietylko wzrost liczby szeregów organizacyjnych, ale objęcie niemi wszystkich środowisk polskich na całej kuli ziemskiej.

Prace Ligi idą zasadniczo w trzech kierunkach, którym odpowiadają trzy wydziały Zarządu Głównego: *morski kolonjalny i żeglugi śródlądowej*. *Wydział Morski* obejmuje wszystkie zagadnienia z należytem wykorzystaniem morza związane oraz sprawy marynarki wojennej, tej jedynej, gwarantki „wolności morskiej" każdego państwa. *Wydział Kolonjalny* jednoczy wysiłki teoretyczne i praktyczne, zmierzające do pozyskania przez Państwo Polskie własnych nieskrępowanych terenów dla ekspansji ludzkiej i gospodarczej. Wreszcie *Wydział Zeglugi Sródlądowej* zmierza z jednej strony do wykorzystania zaniedbanych przez okres niewoli, niezwykle cennych dla rozwoju kraju i jego obrony śródlądowych dróg wodnych, z drugiej zaś strony przez swą sekcję wychowania wodnego — do przygotowania z pośród dzisiejszej młodzieży przyszłych bojowników tych wszystkich spraw, które decydują wprost o przyszłości Narodu i Państwa.

Liga Morska i Kolonjalna urządza w tym roku ogólnopolskie Święto Morza, po raz drugi w naszych dziejach, Swięto to ma być wielką żywiołową manifestacją całego narodu na rzecz morza a zarazem zdecydowaną i stanowczą kontrakcją przeciw wrogiej Polsce propagandzie, mającej na celu odepchnięcie nas od morza. Swięto Morza zarazem będzie początkiem wielkiej akcji zbiórkowej na dwa fundusze, które najdobitniej zaświadczą naszą wolę zdecydowanego trwania nad morzem i dźwigania ku górze naszego Państwa. Są to: *Fundusz Obrony*

Morskiej i Fundusz Kolonjalny. Pierwszy przeznaczony jest na rozbudowę polskiej floty wojennej, drugi na zapoczątkowanie planowej akcji kolonizacyjnej. Dodać należy, że zbiórka na te fundusze nie będzie obciążona żadnemi kosztami handlowemi, ani ciężarami tak, że każdy grosz na nie wpłacony, będzie zużyty w całości zgodnie z intencją ofiarodawcy.

Akcja zbiórkowa na cele rozbudowy floty wojennej została powierzona Lidze Morskiej i Kolonjalnej, po byłym Komitecie Floty Narodowej, uchwałą Rady Ministrów z dn. 20 stycznia 1933 r. Na czele Funduszu Obrony Morskiej stać będzie Zarząd, składający się z delegata Prezesa Rady Ministrów, jako przewodniczącego, prezesa lub wiceprezesa Zarządu Głównego Ligi Morskiej i Kolonjalnej, jako zastępcy przewodniczącego oraz 5 członków, zaproszonych przez Ligę.

Fundusz Kolonjalny Ligi Morskiej i Kolonjalnej przeznaczony jest na utorowanie szerokiej i wolnej drogi dla skrępowanej dotychczas polskiej ekspansji na świat. Na czele Funduszu stoi komisja, wyłoniona przez Zarząd Główny L. M. i K. w składzie p.p.: Sen. Hanna Hubicka, Prezes Rady Org. Pol. z Zagranicy *Marszałek Senatu Władysław Raczkiewicz*, prezes Rady Głównej L. M. i K. Józef Kożuchowski i prezes Zarządu Głównego L. M. i K. gen. Gustaw Orlicz-Dreszer i W. Minister Tadeusz Lechnicki.

Liga Morska i Kolonjalna liczy na polskie wychodźtwo. Wierzy, że stanie ono, jak jeden mąż, we wspólnym szeregu z całym krajem. Razem stanowić będziemy siłę realną, która może zdziałać rzeczy olbrzymie.

Państwo Polskie po 150-letniej niewoli wykuwa obecnie w ciężkim trudzie drogi swego przyszłego rozwoju. W trudzie tym musimy wziąć udział wszyscy.

Hasłem Ligi Morskiej i Kolonjalnej, tak pięknie sprecyzowanem przez jej prezesa Gen. Gustawa Orlicz-Dreszera, jest: *„Od Polski europejskiej do Polski światowej!"*

Pod tem hasłem zjednoczy się wszystko, co w narodzie żywo czuje.

Henryk Tetzlaff.

Fundusz Morski przeznaczony jest na rozbudowę polskiej floty, Fundusz Kolonjalny na zapoczątkowanie planowej akcji kolonizacyjnej. Któż może odmówić złożenia ofiary na tak ważne cele?

Na marginesie historji ruchów migracyjnych.

Przytaczając słowa znanego podróżnika i naturalisty niemieckiego ubiegłego stulecia Moritz'a Wagnera, który powiedział, iż „teorja migracji jest zasadniczym punktem historji powszechnej", i zwracając również uwagę na ten fakt, że właściwie, „świat został zasiedlony przez emigrantów",—p. René Gonnard, profesor Uniwersytetu Ljońskiego, autor licznych dzieł z dziedziny nauk społecznych, ekonomiki i demografji, w swej książce „Essai sur l'Histoire de l'Emigration" (Paris, 1928), stawia na wstępie pytanie: Dlaczego, mimo, że ruchy migracyjne odegrały tak kapitalną rolę w historji ludzkości, zagadnienie emigracji było i jest tak mało badane przez historyków, moralistów, lub też ekonomistów?

I w odpowiedzi na to pytanie autor cytuje słowa ekonomisty belgijskiego Varlez'a, który tłumaczy ze swej strony obojętność o której mowa tą okolicznością, że ruchy migracyjne dotyczą zazwyczaj mas szarych, bezimiennych, małych ludzi, przewożonych pod pokładami statków, tłoczących się na kilku węzłowych dworcach kolejowych, lub też gnieżdżących się w najuboższych, dzielnicach wielkich miast.

Dodajmy od siebie, iż o ile chodzi o ruchy migracyjne przeszłości, to historja i ekonomika więcej się interesują politycznemi, wzgl. ekonomicznemi wynikami — siłą rzeczy bardziej widocznemi, lub też osobami wodzów tych ruchów—uderza tu najbardziej upadek Rzymu lub Konstantynopola, walka o niepodległość Stanów Zjednoczonych lub republik południowo-amerykańskich, wreszcie postacie Atylli, Mahometa II, czy też Waschingtona lub Bolivara — niż podłożem i naturą ruchów migracyjnych mas tureckich czy Hunnów, lub wreszcie kilkowiekowym procesem emigracji hiszpańskiej lub angielskiej.

Pragnąc wypełnić tę lukę w literaturze naukowej, p. Gonnard czyni próbę — tak nazywa swe dzieło — oświetlenia historji ruchów migracyjnych, istniejących od tak dawna, jak daleko w przeszłość oko historyka sięga, a w których najbardziej być może ujawniły się przedsiębiorczość, zdobywczość i moc rasy białej, zajmującej dzięki tym zaletom dominujące stanowisko na naszym globie.

* * *

Ulegając działaniu nader różnorodnych czynników, natury ekonomicznej, populacyjnej, klimatycznej, czy też psychologicznej, moralnej lub religijnej, raptownych lub powoli narastających, masy ludzkie opuszczają w pewnym momencie miejsce swego dotychczasowego zamieszkania i bądź masowo, gwałtownie, w drodze podboju, lub też stopniowo, pokojowo, czasami niepostrzeżenie przenoszą się do innych krajów, na nowe miejsca, tępiąc lub ujarzmiając dawnych posiadaczy tych ostatnich, powoli ich wyciskając, lub też tworząc nowe państwa, nowe cywilizacje tam, gdzie przed ich przybyciem była pustynia. W zależności od charakteru ruchu migracyjnego nazywamy go najściem, kolonizacją, lub przenikaniem.

Odkrycie Nowego Świata w końcu XV-go wieku kładzie początek potężnej, niebywałej w swych skutkach emigracji europejskiej. Pionierami są tu Hiszpanie, inaugurujący zaoceaniczny ruch emigracyjny. Jest on spowodowany w Hiszpanji szeregiem zbiegających się czynników. Po 7-miu wiekach nieustannych wojen i walk, wytwarza się w tym kraju duch wojowniczy, poniekąd awanturniczy. Całe warstwy narodu odzwyczajają się od pracy—zresztą w masie swej uboga szlachta hiszpańska niema prawa pracować pod groźbą utraty szlachectwa. Wiadomość o złotonośnych terenach Ameryki Środkowej i Południowej wzbudza żądze opanowania tych terenów. Do tego dołączają się momenty natury religijnej. Powstaje masowy ruch emigracyjny. Emigracja hiszpańska w samym tylko w. XVI-ym jest obliczana na 3.000.000 osób. Wtedy też powstają pierwsze ustawodawcze zarządzenia emigracyjne. Emigracja hiszpańska tworzy początkowo wielkość Królestwa Hiszpanji, następnie jednak przyczynia się do jej upadku; należy zauważyć, że istotną przyczyną tego upadku było nie wyludnienie się kraju naskutek odpływu ludności, lecz nieudolna polityka ekonomiczna, związana z napływem złota do Metropolji. I aczkolwie Hiszpanja traci w początku XIX-go wieku swe południowo-amerykańskie kolonje, to jednak dawna i obecna emigracja hiszpańska sprawia, że język hiszpański stoi wśród języków europejskich na drugim miejscu pod względem ilości osób go używających. Obserwujemy też jednoczenie się ludów, używających mowy hiszpańskiej, będące obecnie w zarodku, lecz mogące mieć w przyszłości daleko idące rezultaty.

Równolegle z hiszpańską odbywa się emigracja portugalska, tworząca największe dziś w Ameryce Południowej terytorjalnie i ludnościowo Państwo Brazylijskie.

W tej też epoce ma miejsce emigracja francuska w kierunku wysp Antylskich, Kanady i Florydy, jak też holenderska, która zakłada miasto Nowy Amsterdam — dzisiejszy New-York oraz tworzy kolonję Afrykanderów w Afryce Południowej.

* * *

Później dopiero rozpoczyna się emigracja angielska. Staje się ona jednak w szybkim tempie najpotężniejszą i najważniejszą zarówno ilościowo, jak też i pod względem swych skutków w kształtowaniu się nowoczesnej historji oraz pod względem korzyści, które przyniosła macierzy.

Rozwój ruchu emigracyjnego angielskiego jest połączony z rozwojem potęgi morskiej Anglji; te właśnie dwa czynniki — emigracja i potęga morska — stanowią podstawę mocy i bogactwa Imperjum Brytyjskiego.

Stosunkowo mało rozpowszechnioną jest znajomość faktu, że wśród otoczonych ze wszech stron morzem Anglików świadomość znaczenia morza i możliwości, które ono odkrywa, była zrozumiana dość późno. Od czasów Wilhelma Zdobywcy do epoki poprzedzającej panowanie królowej Elżbiety — Anglicy prawie nie posiadali marynarki. Wielkie odkrycia geograficzne były zrobione przez Hiszpanów, Portugalczyków, Holendrów, Francuzów—Anglicy nic prawie tu sobie przypisać nie mogą. Jeszcze w końcu XVI-go wieku na 350 statków, zaj-

mujących się połowem ryb u wybrzeży Kanady, liczy się zaledwie 50 angielskich. Kraj jest ubogi i zacofany. Dopiero w końcu XVI-go i w początku XVII-go wieku rozpoczyna się budowa floty i dalsze wycieczki marynarzy angielskich.

Jednocześnie rozpoczyna się emigracja spowodowana zubożeniem ludności, a w znacznej mierze prześladowaniami religijnemi. W r. 1667— Anglicy zdobywają na Holendrach Nowy York. W czasie wojny siedmioletniej kolonja północno-amerykańska, liczy już 2.000.000 mieszkańców, którzy bez trudu zdobywają Kanadę z 80.000 Francuzów. Utrata tej przepięknej kolonji była dla Francji odwetem za niezrozumienie ważności emigracji tak wśród społeczeństwa francuskiego, jak i wśród sfer rządzących. Aczkolwiek w końcu XVIII wieku Stany Zjednoczone Ameryki Północnej odrywają się od macierzy, to jednak pozostaje i trwa do dziś wspólnota kulturalna tych krajów, a Ameryka Północna jest i w XIX wieku terenem nader licznej emigracji angielskiej.

Również liczna emigracja angielska płynie i w innych kierunkach i tworzy Dominja Kanady, Nowej Zelandji, Australji i Afryki Południ.

Niepodobna byłoby wyliczać wszystkie kolonje i zdobycze osiedleńczej emigracji angielskiej. Należy tylko zauważyć, że upływ miljonowych mas emigrantów bynajmniej nie wpłynął na zmniejszenie się ludności w Anglji. W wieku XIX-ym, najbardziej intensywnym pod względem wychodźtwa, ludność Anglji (bez Irlandji) wzrosła z 14 miljonów w r. 1820 do 45 miljonów w dobie obecnej.

Natomiast emigracja, połączona z działaniem szeregu czynników natury politycznej i ekonomicznej, spowodowała obezludnienie Irlandji, która liczyła w r. 1846 przeszło 8 miljonów mieszkańców, obecnie zaś posiada $4^1/_2$ miljona.

W wieku XIX-ym powstają prądy emigracyjne zaoceaniczne: niemiecki, włoski, i polski. Zbyt późno powstałe w krajach, które nie posiadały do ostatnich czasów swej marynarki, prądy te siłą rzeczy nie mogły wytworzyć kolonji, mających wspólny z Macierzą sztandar. Mimo to, rola polityczna i ekonomiczna tych emigracyj należy do czynników pierwszorzędnego znaczenia.

* * *

Zaoceaniczna emigracja bynajmniej nie wstrzymała europejskich ruchów emigracyjnych na kontynencie. I wewnątrz Europy pod wpływem najrozmaitszych powodów natury politycznej, religijnej i ekonomicznej liczne masy ludności przenoszą się do nowych miejsc zamieszkania, do innych krajów.

Widzimy więc osiedleńców holenderskich, hugonotów francuskich, katolików angielskich i szkockich, opuszczających swój kraj, a ściąganych skwapliwie przez władców Brandenburgji. Zasiedlają i kultywują oni piaski i błota brandenburskie i uczestniczą w ten sposób w zakładaniu podwalin przyszłej potęgi Prus.

Niemiecki element przenika już na obszary właściwej Polski i Czech, stając się protoplastą dzisiejszych mniejszości niemieckich w tych krajach.

Piotr I i jego następcy ściągają do Rosji kolonistów niemieckich i holenderskich, podczas gdy emigracja rosyjska zaludnia Sybir, dociera do Oceanu Wielkiego, gór Pamiru i Kaukazu.

W najrozmaitszych kierunkach odbywa się imigracja żydowska.

Wreszcie w końcu XIX-ym wieku powstaje emigracja włoska, hiszpańska i w końcu polska — do Francji.

* * *

Do połowy wieku XIX-go emigracja polska miała charakter raczej ekspansji terytorjalnej. W wiekach średnich Polska jest nawet raczej terenem imigracyjnym — dla mieszczan niemieckich, zakładających i zasiedlających nasze miasta i, później, dla Żydów, którzy tworzą w Polsce jedno z najliczniejszych swych ugrupowań. Następnie, ulegając penetracji niemieckiej z zachodu, Polacy rozszerzali jednocześnie swój stan posiadania na Wschodzie. Za zdobywcą szedł kolonizator — ziemianin, kolonista — włościanin polski.

Element polski gęsto zasiedla Ruś Czerwoną, a słabiej już tylko przenika dalej na wschód. Rola jednak jego na tych kresach wschodnich jest dziejowa. Tworzy on ośrodki siły zbrojnej i kultury, pod jego osłoną rozrasta się na opustoszonych przez napady tatarskie obszarach ludność ruska i kraj dochodzi do dobrobytu, którego zniweczyć nie mogą burze wojen kozackich.

Element polski stanowi i po rozbiorach jedną z podstaw kultury i bogactwa Wołynia, Ukrainy, Podola i Białorusi.

Również niepoślednie były i są zdobycze ekspansji polskiej na Litwie. — Koniec XVIII-go wieku i wiek XIX-ty jest epoką emigracji politycznej.

Właściwa ekonomiczna emigracja masowa rozpoczyna się w Polsce, jakeśmy to już zauważyli, w połowie wieku XIX-go. Emigracja pracowników umysłowych i robotnicza — pracowników fachowych — idzie dalej na wschód — do Rosji i poprzez Rosję do Mandżurji, do Chin, do Turkestanu. Tworzy ona w miastach rosyjskich i na Dalekim Wschodzie niezbyt liczne, lecz kwitnące dawniej kolonje polskie, do dziś dnia niezniszczone.

Górnicza emigracja tworzy mocną i zwartą grupę w Westfalji.

Najliczniejszą i w skutkach swych najbardziej godną uwagi jest zaoceaniczna emigracja do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, Kanady, Brazylji i Argentyny i powojenna kontynentalna — do Francji.

Jest to emigracja nie zdobywcza, nie podbojowa, lecz pokojowa, emigracja rąk roboczych. Przebywając w krajach obcych, nacechowana lojalizmem dla nowej ojczyzny, tworzy jednak ona grupy *polskie* zagranicą, przekształcające się w prawdziwe zagraniczne społeczeństwo polskie.

Społeczeństwo to będzie stale wzrastało. Przyrost naturalny ludności polskiej, w zestawieniu z odnośnemi statystykami innych narodowości wymownie dowodzi, że Polakom, którzy późno zaczęli przyjmować udział w odwiecznych ruchach migracyjnych ludzkości, przeznaczony jest szczytny udział w ruchach przyszłych — w zaludnianiu chociażby np. dziś odłogiem stojących obszarów Ameryki Południowej.

Zbyt młode jeszcze, by odgrywać widoczną dla wszystkich rolę w ekonomice i życiu społecznem Świata i Macierzy, społeczeństwo to

stale wzmacnia swój dorobek gospodarczy i kulturalny. Obowiązkiem Macierzy jest i w interesie jej leży pomaganie naszym rodakom zagranicą w ich pracy organizacyjnej i nietylko utrzymanie, lecz i wzmacnianie łączących Ją z Wychodźtwem więzów gospodarczych i moralnych.

A szlaki tej łączności idą przedewszystkiem poprzez *morze*.

G.

Święto Morza a Polonja amerykańska.

Zagadnienie dostępu Polski do morza znajdowało zawsze u Polonji amerykańskiej odczucie i pełne zrozumienie. Już w pierwszych latach naszej niepodległości wychodźtwo w Stanach Zjednoczonych z zapałem przystąpiło do zorganizowania floty handlowej,

Wychodźca zamorski rozumiał dobrze, jak wielkiego znaczenia sprawą jest dla państwa posiadanie własnej floty handlowej. To też z pośród wielu przedsięwzięć, organizowanych przez Polaków amerykańskich dla rozbudowy wolnej już Ojczyzny, największą bodaj popularność zdobywa sobie tworzenie floty handlowej. Niefortunne, niestety, doświadczenie z polsko-amerykańskim towarzystwem okrętowem, którego akcje skwapliwie rozkupiło wychodźtwo, było pierwszym, acz nieudanym, to jednak z wiarą i głębokim przekonaniem zainicjowanym, przejawem gorącej chęci i ambicji Polaków amerykańskich przyczynienia się do wyjścia bandery narodowej na wielkie szlaki oceaniczne. Upadek tego przedsiębiorstwa okrętowego, spowodował duże straty dla licznych, a przygnębienie wśród wszystkich rodaków naszych w Stanach Zjednoczonych, ale sprawa posiadania przez Polskę floty handlowej wciąż zaprzątała umysły, była tematem rozmów prywatnych, zebrań, artykułów, publikacji. Ile to razy, jeżdżąc z Polakami amerykańskimi na obcych statkach, słyszałem kłopotliwe zapytania dlaczego Polska nie ma własnej oceanicznej floty pasażerskiej i najszczersze zapewnienia, że wszyscy oni poparliby gorąco polską flotę.

Pierwszych wieści o budującym się w iście amerykańskiem tempie, porcie polskim — Gdyni słuchano z zapartym oddechem.

Każda wiadomość o postępach budowy Gdyni zamieszczana była skrzętnie na łamach prasy polsko-amerykańskiej i radośnie komentowana.

Gdynia i flota polska to nieustanne, wciąż aktualne tematy dla polskich dzienników i czasopism w Stanach Zjednoczonych.

A jakiż, nieopisany, entuzjazm ogarnął masy, gdy pierwszy okręt Linji Gdynia—Ameryka wpłynął do portu nowojorskiego.

Było to pierwsze, wielkie „Święto Morza" Polonji amerykańskiej. Takiej radości, dumy, serdecznego zapamiętania się, dawno nie widziano. Entuzjam owej chwili przyrównać można do tego, jaki okazali nasi zaoceaniczni współrodacy z racji wspaniałych zwycięstw polskich jeźdźców na stadjonie Madison Square Garden w Nowym Yorku; podobną dynamikę uczuć zaobserwować można było chyba tylko gdy Kubala i Idzikowski lecieli przez ocean.

Narodziny polskiej pasażerskiej floty handlowej wywołały wśród Polonji amerykańskiej większy bodaj entuzjazm niż w kraju.

W polskim okręcie zobaczyło wychodźtwo kawałek Ojczyzny, a w takim wypadku reaguje ono żywiołowo, bezpośrednio. Wśród społeczeństwa w kraju daje się wyraźnie zauważyć pewnego rodzaju zblazowanie uroczystościami, obchodami etc... Psychologicznie jest to zrozumiałe; tak dużo było przecież okazji i to ważnych, wielkich, że te uroczystości nieco spowszedniały, a przytem jakże często nadużywano uczuć narodowych do różnych pseudo-patrjotycznych, „tromtadrackich" manifestacyj. Na wychodźtwie każda wielka manifestacja narodowa związana z ważnem wydarzeniem, a przedewszystkiem z nową zdobyczą w budowaniu potęgi państwa Polskiego, ma swój szczery wyraz, treść, ma swój głęboki sens bo jest wyrazicielem młodych gorących uczuć niezblazowanych mas.

Po tym „Swięcie morza" nastąpiło jego „codzień", „Polonja amerykańska poparła bez zastrzeżeń Linję Gdynia—Ameryka. Nasze okręty to ukochany „benjaminek" Polaków amerykańskich, to *ich* okręty. Jeśli kto jedzie do „Starego kraju" na obcym statku, nie może się tem chwalić, musi się z tego gęsto tłomaczyć, gdyż popieranie polskiej linji jest w opinji wychodźtwa bezapelacyjnym obowiązkiem obywatelskim.

A przecież te pierwsze nasze statki, są stare, nie tak luksusowe, ani tak szybkie jak wielkie transatlantyki potężnych kompanij angielskich, francuskich, czy niemieckich. Wystarczy, że są polskie, że panuje na nich swojska serdeczna atmosfera, wygoda, że nasza załoga z oddaniem i troskliwością służy swoim pasażerom. Polacy amerykańscy dają byt polskiej linji i przyczyniają się, że już niedługo zdobędzie ona najnowocześniejsze, szybkie i komfortowe okręty.

Polonja amerykańska widzi w polskiej flocie nietylko narzędzie ekspansji Polski, ale i najbliższy, realny łącznik z Macierzą.

Gdy Polacy ze Stanów Zjednoczonych zwiedzają Polskę, odnoszą mnóstwo wrażeń, reagują żywo na wszystko co zobaczą, najwięcej jednak radości budzi w nich Gdynia.

Patrzą na nią z dumą jako na polski port, ale też odnajdują w niej siebie. Gdynia budzi w ich sercach to, bo może tkwi tam najmocniej. W Gdyni widzą polski rozmach, taki, jaki jest w Ameryce. Tu mają odcinek tego, co chcieliby widzieć wszędzie w Polsce, „amerykańskość" w znaczeniu natężenia pracy, rekordu.

Gdynia jest najnowszym portem Europy, najszybciej budowanym najbardziej rozwijającym się; stworzonym na pustkowiu, a przytem *polskim* portem. Gdynia pobija rekordy ilości i szybkości przeładunku, o Gdyni głośno wszędzie! Zaiste, duma, do której życie amerykańskie, tak zaprawia naszego rodaka—wychodźcę, ma tu całkowicie usprawiedliwione zastosowanie.

Polacy w Stanach Zjednoczonych organizują liczne oddziały Ligi Morskiej i Kolonjalnej, coraz żywiej i sprawniej działające,

Gdy w zeszłym roku odbył się w Gdyni spontaniczny obchód „Święta Morza", Polacy w Ameryce również urządzali odpowiednie uroczystości.

Tegoroczne „Święto Morza", jakie obchodzić będzie uroczyście

cała Polska i wszystkie polskie skupienia zagraniczne ma, jak wiadomo, specjalne znaczenie.

Kiedy wrogie ręce coraz bardziej wyciągają łapy po Pomorze, coraz gwałtowniej i wyraźniej mówią o zabraniu Pomorza i Gdyni, kiedy chcą schwycić nas za gardło, powtórzyć to, czego dokonał I-y rozbiór Polski, mocne zamanifestowanie naszych praw i woli ma aktualność specjalną.

Rozumieją to Polacy amerykańscy, którzy natychmiast mocno reagują na każdy przejaw wrogiej i kłamliwej propagandy, którym przytem kwestja morza dla Polski najbardziej na sercu leży.

Możemy być pewni że „Święto Morza" jakie w tym roku zorganizują nasi rodacy za oceanem będzie powszechne i silne w wyrazie, tak jak powszechnem i silnem jest poparcie które polskiej flocie handlowej okazuje Polonja amerykańska stale, na codzień.

Janusz Stryjewski.

Polska droga wychodźców przez północny Atlantyk

Tam gdzieś w dali tajemnej, śpiewa groźne [morze,
Tam, za morzem, tam dymne kominy fabryczne.
Hen, za nimi wieś polska szumi o wieczorze.
I nad borem już gasną w mgłach zorze prze-[śliczne,
A tam, w dali tajemnej, śpiewa groźne morze

J. Jedlicz. „Chłopi emigranci".

Od czasu gdy w Oliwie na Pomorzu — w pobliżu miejsca gdzie młoda polska flota odniosła w r. 1627 świetne zwycięstwo nad Szwedami — zawarto za Jana Kazimierza pokój ze Szwecją, oliwski traktat 1660 roku, odbierający Polsce panowanie nad morzem, w ciągu trzech wieków, oczy i umysły, wzrok i myśli Polaków jakgdyby wyrzekły się zupełnie udziału w wielkim wyścigu o panowanie nad drogami morskiemi i w olbrzymiej pracy rozbudowy zamorskiego stanu posiadania białej rasy, jakich podejmują się w tym właśnie okresie inne narody europejskie.

Rzeczpospolita Polska zasklepiła się w tym czasie w ciasnym widnokręgu lądowych wyłącznie celów politycznych i planów gospodarczych. Zbrodnie rozbiorów i rozczłonkowanie naszej Ojczyzny pomiędzy trzy wielkie potęgi polityczne, z których każda miała własne zamiary i dalekosiężne projekty na morskich i oceanicznych drogach świata oparte, ostatecznie zdaje się wykreśliło nasz kraj i nasz naród z liczby tych, które znają, kochają, cenią i szanują to wszystko, co wolnemu człowiekowi i zorganizowanemu społeczeństwu dostarcza opanowanie całego żywiołu narodowego, dając każdemu narodowi nieobliczalne możliwości lepszej, w znaczeniu materjalnem, i wyższej, w sensie duchowym, egzystencji i pozycji w świecie.

Ale tak, jak w podziemach politycznej konspiracji, w samotnych długich rodaków rozmowach, wybuchających beznadziejnie raz na dziesięciolecie z improwizowanej trybuny, a częściej gasnących w szepcie, zagłuszanym brzękiem kajdan, trwała niezłomna wola wskrzeszenia i utwierdzenia z powrotem mocarstwowej potęgi polskiej,—tak również w najgłębszych warstwach organizmu społecznego polskiego, narastały i krzepły, niewidoczne może dla współczesnych im mędrców oka, nawpół tylko świadome, nawpół zgoła żywiołowe w własnem poczuciu, siły odśrodkowe, soki bujne, tkanki świeże, stwarzające nowy ruch w narodzie — nazewnątrz za wszelką cenę, w świat szeroki, w drogę daleką, z kijem pielgrzymim...

A może z żaglem?

Dla człowieka-obywatela czcigodnego weterana klęsk Ojczyzny, który dźwigał w sobie ból całego bezmiaru krzywdy dziejącej się jego Ojczyźnie, będącego już poddanym obcego państwa, nastała pora gorzkiego wyznania, że —

„Dziki gołąb ma gniazdo,
„Robak ziemi bryłę,
„Każdy człek ma ojczyznę
„A Polak mogiłę..."

I tenże poeta, Juljan Ursyn Niemcewicz, wskazuje rodakom swoim na wyjście czy wylot z tego mroku i zaduchu mogilnego, pisząc do pierwszych emigrantów polskich w stanie Illinois, sto lat temu:

„Pamiętajcie, że jesteście wśród obcych, którzy nie znają naszych czynów, ani naszych obecnych prawdziwych warunków. Będą oni z zachowania waszego sądzili cały naród polski. Jak świętym jest nasz obowiązek ustrzeżenia honoru Polski, naszego dobrego imienia, od najmniejszej skazy! Zachowajcie język swych ojców, jako obronę naszej narodowości, tak, by jeśli naszym potężnym i okrutnym wrogom udałoby się wytępić go w Europie, szczątki jego mogły zostać w Ameryce, gdzie ucisk i niewola są nieznane.

„Dlaczegóż wiek mój i siły moje, złamane przez tyle nieszczęść, nie pozwalają mi zobaczyć znowu Ameryki, tego kraju, który mi dał gościnny przytułek przez dziewięć lat, którego obywatelem mam szczęście i zaszczyt być, z którym jestem złączony najdroższymi węzłami pamięci i pokrewieństwa! Jakże byłbym szczęśliwy, gdybym mógł zakończyć swe nędzne życie wśród was. Kamień polny nad moim grobem w wolnym kraju, byłby mi chlubniejszym, niż najwspanialszy grobowiec w kraju niewolników".

Ci, do których były zwrócone te słowa, stanowili zwartą grupę listopadowych żołnierzy polskich, internowanych przez Austrjaków,

w liczbie 234, którym pozwolono wyemigrować do Stanów Zjednoczonych, umożliwiając im osiągnięcie celu, który komitet przez nich wybrany, na wolnej ziemi amerykańskiej, tak określał w petycji do Kongresu Unji: „Pragniemy założyć w Stanach Zjednoczonych nową Polskę, gdzie nasi rodacy mogliby zebrać się i żyć. Mając to na widoku, uprzejmie prosimy Wasze dostojne zgromadzenie o udzielenie nam ziemi pod takimi warunkami, które pozwolą nam żyć z własnej pracy, zgromadzać przy sobie tych rodaków, którzy jeszcze mogą przyjechać do tych brzegów i stać się użytecznymi dla narodu Stanów Zjednoczonych".

Trudno o prostsze, jaśniejsze i bardziej szczere sformułowanie celu przewodniego, jaki odtąd w ciągu wieku ostatniego od 1833 r. kieruje emigrantów z Polski do tych brzegów po przez groźne, nieznane, szumiące, rojące się od niebezpieczeństw morze, ocean Atlantycki.

Podróż naszej pierwszej garstki emigrantów na dwóch żaglowcach „Hebe" i „Guerrière" trwała z Tryjestu do Nowego Jorku kilka miesięcy, od 22 listopada 1833 r. do 28 marca 1834 r. i nie była pomyślna. Burze połamały maszty, woda do picia już piątego dnia po opuszczeniu portu trjesteńskiego zepsuła się, odżywiano ich nędznie, tak że po 70 dniach udręki wybuchł bunt i dopiero po dłuższym postoju w Gibraltarze, wywalczywszy swą postawą pewną zmianę na lepsze w dalszej podróży ze strony załogi i dowództwa okrętów, złożonej z Włochów i Austrjaków, emigranci nasi w kwietniu 1834 r. stanęli na ziemi amerykańskiej.

Pionierzy ci wskazali drogę następcom. Aż do okresu wielkiego, masowego wzmożenia emigracji z Polski do Stanów Zjednoczonych od r. 1880, każdy ruch polityczny w kraju stwarza w konsekwencji nowe zastępy wygnańców, z których najenergiczniejsze jednostki próbują dalekiej, niewygodnej i niebezpiecznej podróży przez Atlantyk, aby osiągnąć tenże cel, który przyświecał pionierom na tej drodze.

Ułatwienia i wygody obecnej podróży transoceanicznej były zupełnie nieznane w ubiegłym wieku i jeśli emigranci polityczni, dzielniejsze i bardziej oświecone jednostki, mogli sobie lepiej dawać radę w przygotowaniu się do tej podróży i w czasie pobytu na statku, o ile smętniej przedstawiał się los emigrantów ze wsi, wędrujących dla zarobku, tych mężczyzn i kobiet z ludu, którzy znali w domu tylko obszar dokoła wioski, niebo nad chatą, las sąsiedni nad horyzontem, a z kominem fabrycznym zapoznawali się dopiero w Ameryce! A wszak z jednej tylko Galicji wyemigrowało w latach 1881 — 1900 blisko 400 tysięcy ludzi.

Droga przez ocean jeżyła się od przeszkód i trudności, wiodła bynajmniej nie gładką powierzchnią wód lecz raczej, mówiąc obrazowo—wązkiemi ścieżynami po skalistych wertepach, szła nieraz brzegiem przepaści, w którą staczał się ten i ów, komu podwinęła się noga lub kogo pchnęła zbrodnicza ręka. Koszt podróży pokrywano lichwiarskiemi pożyczkami. Po przebyciu całej gehenny wyzysku w pajęczych fortelach agentów szyfkartowych, emigrant trafiał do portu zupełnie obcego mu, gdzie musiał szukać przytułku w rozmaitych oberżach, hotelikach i spelunkach, niemiłosiernie wyzyskiwany. W niemieckich

portach sprzedawano emigrantom po cenach niebywałych, prawie gwałtem ubrania, bieliznę, kufry, miednice i t. p. W Genui, jednym z portów ześrodkowujących wielkie transporty emigrantów z Austrji, prowadzono wprost z dworca chłopów naszych do najwstrętniejszych jaskiń, gdzie za nędzne pomieszczenie w ciasnych pokoikach bez powietrza i światła oraz najskromniejsze pożywienie wyłudzano od nich grosz ostatni.

Rozpoczynała się potem podróż morska, która za dawniejszych lat była dla emigrantów prawdziwem pasmem udręczeń, bo ładowano ich jak śledzie w beczce, odżywiano bardzo licho i wieziono długo. Najlichsze i najmniejsze statki podejmowały się przewozu tych ludzi, traktowanymi szorstko i zgóry. Emigranta naszego trapiła jeszcze w tej podróży nuda, o usunięcie której nikt się nie starał, — wszak to był tylko „międzypokładowiec", a zwłaszcza najsilniej dokuczał niepokój, czy aby wolna Ameryka nie zamknie przed nim swych wrót na Ellis Island...

O wiele lepsze warunki istniały dla pasażerów III-ej klasy, którą wprowadzono na statkach znacznie później, niż na kolejach. Ale i płacąc za te udogodnienia Polak nierzadko bywał i w prawie samem do korzystania z takiego przejazdu; na statkach jednego z największych towarzystw okrętowych „Hamburg America — Line" do r. 1905 klasa III-cia zarezerwowaną była jedynie dla Niemców, jak stwierdził na niemieckim kolonjalnym kongresie dr. K. Shiers, profesor Politechniki w Gdańsku.

A tymczasem transportowanie emigrantów było przed wojną światową świetnie prosperującem przedsiębiorstwem, wymykającem się niemal zupełnie z pod kontroli państwa i organów opieki społecznej. Za niebywałe procenty zarobione na krzywdzie polskich chłopów powstają w bieżącym wieku wielkie towarzystwa żeglugowe niemieckie zorganizowane od r. 1905 w potężny kartel „Północno Niemiecki Pool", z udziałem francuskiej i austrjackiej kompanji okrętowych. Prawie trzy czwarte ogółu emigrantów polskich — a od r. 1901 do 1910 wyemigrowało do Stanów Zjednoczonych 1,021,739 Polaków z Europy i innych części świata według statystyki imigracyjnej amerykańskiej — przewoziły za ocean statki hamburskie i bremeńskie, tak iż potężne towarzystwa przewozowe niemieckie rozwój swój do r. 1924 zawdzięczały w poważnym stopniu polskim pasażerom.

Przypominamy to wszystko teraz, kiedy Polska przekreśliła swój obojętny stosunek do polityki morskiej, kiedy zwrot dokonany w pojęciach ogółu o wadze i znaczeniu dostępu do morza i wykorzystania wszystkich gospodarczych możliwości na tym szlaku da się określić słowami: „Stanęliśmy frontem do morza"; dziś po to o trudach i przeszkodach naszych przodków na falistym szlaku atlantyckim przypominamy, aby zdać sobie sprawę jak wielkie zmiany i nowe perspektywy zajaśniały przed Macierzą i Polonją zamorską przez ujęcie we własne polskie ręce, stopniowe przejęcie z władania obcych tego wszystkiego, co poprzez ocean jaknajsilniej złączyć nas może i powinno.

W dziedzinie emigracji mamy wprawdzie dziś jeszcze zastój kompletny, w porównaniu z okresem nieograniczonej wolności przesiedla-

nia się z Europy do Stanów Zjednoczonych, ale kto wie, czy nie nastąpią z latami gruntowne zmiany w tej sytuacji.

Dają się słyszeć w politycznem życiu amerykańskiem głosy, że „z wielu rodzai głupoty w Stanach Zjednoczonych najbardziej szkodliwą jest zabranianie inteligentnym ambitnym mężczyznom i kobietom przybywać tu z Europy, jak nasi przodkowie czynili", dalej, że „Ameryka (t. j. Stany Zjednoczone A. P.), może wykarmić jeszcze 250 miljonów ludzi, prócz tych 123 miljonów które posiada", że „immigracja była błogosławieństwem kraju, zbudowała te wielkie i wspaniałe Stany Zjednoczone" (Cytujemy za „Dziennikiem Polskim" z Detroit, dn. 29/III). Na tem tle nie mogą nie powstawać badania i dyskusje, kompanje polityczne i projekty gospodarcze, w których nie zbraknie głosów polskich po tej i po tamtej stronie oceanu. U nas tę kwestję energicznie poruszył w swoim czasie red. B. Lepecki w książce p. t. „Stany Zjednoczone a imigracja" (Nakładem Pol. Tow. Emigracyjnego, Warszawa 1930). I jeśli nie od nas zależą posunięcia, decydujące w tej sprawie — zniesienia ograniczeń immigracyjnych w Unji amerykańskiej to ile najpoważniejszych argumentów przemawia za tem, aby przewidzieć i odpowiednio wykorzystać wszystko co nam da się osiągnąć mając dostęp do morza i zaczątek własnej komunikacji Gdynia—Ameryka, kiedy wybije na zegarze dziejów godzina ograniczenia zakazów immigracyjnych amerykańskich.

Zanim to nastąpi, szukajmy konkretnych zupełnie możliwości ożywienia ruchu na polskim odcinku transoceanicznych dróg pomiędzy Europą a Stanami Zjednoczonemi, znowu z nieodłączną myślą o ingerencji naszej gospodarczej, własnej i państwowym interesem wielkiego kraju w Europie kontrolowanej, do wszystkich etapów idealnych rozgałęzień danej wymiany dóbr ekonomicznych.

Przywóz do Polski ze Stanów Zjednoczonych wynosił przeciętnie rocznie w latach 1926 — 1930 352 miljonów złotych, a eksport polski do republiki zaatlantyckiej w tym samym okresie tylko 21 miljonów przeciętnie w stosunku rocznym; w roku 1931 przywieziono stamtąd towarów do Polski na sumę 155 miljonów zł., stąd za ocean, do państwa liczącego 4 miljony obywateli polskiego pochodzenia, — na 13 miljonów złotych, co stanowi 3 złote 25 groszy na każdego z tych obywateli, zapłaconych przez jednego Polaka i trzydziestu conajmniej Amerykanów. Cyfry te dobitnie wykazują jak wielką dysproporcję trzeba usunąć w ujemnym dla Polski w bilansie handlowej wymiany towarów ze Stanami Zjednoczonemi.

Wszak najważniejszy regulator tego zagadnienia, ruch w portach Polski, Gdańsku i naszej Gdyni, wykazuje wielką prężność nawet w czasach dzisiejszej depresji na drogach morskich. W ostatnich miesiącach zanotowano następujące rekordy w porcie gdyńskim: przeładunek dzienny—25,370 tonn, miesięczny obrót wyładowanych i załadowanych towarów—542,365 tonn. Dnia 18 listopada 1932 r. stało w porcie polskim przy nabrzeżach jednocześnie 65 statków. Dnia 24 listopada ub. r. zawinął do Gdyni pierwszy statek regularnej linji Gdynia — Australja, przywożąc 2.000 bel wełny australijskiej i świadcząc niezbicie, poraz pierwszy w dziejach naszej ojczyzny, że handel polski może docierać do południowego Pacyfiku.

Dodajmy tu jeszcze dla orjentacji naszych rodaków w Stanach Zjednoczonych, że podczas gdy na ogólną ilość tonnażu statków, które zawinęły do Gdyni w r. 1925, na 146 tysięcy reg. tonn nie było ani jednej tonny pod banderą gwiaździstą, w r. 1931 statystyka rejestruje 241 tysięcy reg. tonn pod tą banderą, przy zwiększonym w ciągu 6-ciu lat trzydziestosześciokrotnie obrocie statków pod wszystkiemi banderami, łącznie z polską, w tym porcie.

Nie będziemy mnożyć dalej cyfr i przykładowych określeń możliwości ożywienia ruchu komunikacyjnego i transportowego na tej jednej dziś polskiej wielkiej drodze morskiej, gdzie zbiegły się wszystkie niezliczone, zygzakowate i kręte, w pamięci już tylko przodków naszych głęboko wyryte ścieżki zamorskich wychodźców na przestrzeni stu lat, dziś na drodze Gdynia—Ameryka.

W stokroć gorszych warunkach nie zginął, nie zatracił się kwiat polskiego ludu na pełnej niebezpieczeństw drodze morskiej wychodźców przez Atlantyk. O trudzie i wysiłku w przełamaniu tej zapory przez ludzi prostych ze wsi polskiej na przestrzeni lat, kiedy, za przywódcami godnymi posłuchu i zaufania wzrok bezowocnie mógł krążyć do samej śmierci, wspomnijmy ze czcią i wdzięczną pamięcią w dniu polskim Święta Morza. To oni uporem i nieomylnym instynktem wiedzeni kładli fundamenty nowej Polski za oceanem a może i w starym kraju, i w światłach gigantycznych cywilizacji zamorskiej, jak latarnik sienkiewiczowski u stóp wieży świecącej w wody, doznawać mogli najwyższych olśnień oślepiających i na dalszą tułaczkę skazujących człowieka, jeśli im — za sprawą poety — zbyt przenikliwie i wyraźnie Ojczyzna w oczy zajrzała.

Z tych zmagań i bojów o chleb, gdzie oceaniczna droga wychodźców była pierwszym etapem tylko, wyrosła i ukształtowała się Polonja na ziemiach Waszyngtona, czołowy zastęp Polaków zagranicą, wielki warsztat organizacyjny i czujna załoga obrony Polski na węzłowym obszarze powikłanych dziś bardziej, niż kiedykolwiek interesów międzynarodowych.

Inne państwa mogą mieć Gibraltar, stacje węglowe w środku oceanu, obserwatorów radjowych w lodach północy. My, czerpiąc z doświadczeń czasu, silni byliśmy w niedoli, wzrośniemy potężni w wolności, jeśli takiej straży polskości jak Polonja w Stanach amerykańskich zawierzyć będziemy mogli końcowe etapy naszej ekspansji, naszej woli rozwojowej, naszej polityki zamorskiej.

K. Zieleniewski.

Im więcej korzystać będziemy z polskich okrętów, tem bardziej przyczynimy się do wzmocnienia Narodu Polskiego.

Wyjazd Prezesa Rady Organizacyjnej Polaków z Zagranicy Marsz. Władysława Raczkiewicza do Ameryki Południowej.

Prezes Rady Organizacyjnej Polaków z Zagranicy, Marszałek Władysław Raczkiewicz, udaje się na początku czerwca r. b. w podróż do Brazylji, gdzie — w charakterze prezesa naczelnej reprezentacji Polonji Zagranicznej — dokona wizytacji środowisk polskich w południowej Brazylji i Argentynie. Panu Marszałkowi towarzyszyć będzie redaktor „Polaków Zagr." — Bohdan Lepecki.

Prezes Rady wyjeżdża do Ameryki dnia 11 czerwca z Bordeaux, na statku francuskim „Massilia" i przybędzie do Rio de Janeiro dnia 25 czerwca r. b.

Z Rio de Janeiro uda się Pan Prezes do stanów: Parana i Rio Grande do Sul, gdzie zapozna się z twórczą pracą pionierów polskich pod zwrotnikami, poczem — przez Urugwaj i Buenos Aires — dotrze do kolonij polskich w argentyńskim terytorjum Missiones.

Podróż Prezesa Rady Organizacyjnej, poprzedzona wizytacją środowisk polskich w Czechosłowacji, pozostaje w związku z przygotowaniami do II-go Zjazdu Polaków z Zagranicy, który odbędzie się już w roku przyszłym.

Poseł Buzek o Śląsku i młodzieży akademickiej.

Zaproszenie ze strony praskiej sekcji Jedności, Związku akademików mniejszości polskiej w Czechosłowacji, bym wygłosił przemówienie na dzisiejszym „Wieczorze Śląskim" chętnie przyjąłem. Uczyniłem to tem ochotniej, bo sam stałem zgoła u kolebki stowarzyszenia, z którego się Wasza Jedność wywodzi. W r. *1894* zakładaliśmy jako abiturjenci niemieckiego gimnazjum w Cieszynie stowarzyszenie polskich akademików na Sląsku pod nazwą „Znicz". Związek ten dotąd istnieje po polskiej stronie Sląska. Po przedziale Sląska założyła polska młodzież akademicka na terenie czechosłowackim swój własny związek pod nazwa „Jedność" w r. 1925, przyjmując w głównych zarysach statut „Znicza". Dostosowała jednak swój program pracy do zmienionych warunków politycznych.

„Jedność" nasza nie jest na terenie praskim izolowana. Nie stoi na uboczu, nie trzyma się zdala od nurtów i prądów życia ogólnoakademickiego. *Universitas Carolina* ma to do siebie, że przyciąga od dawien dawna jakąś magnetyczną siłą *młodzież słowiańską.* Spotykamy tutaj Jugosłowian, Polaków, Rosjan, Bułgarów, Serbów Łużyckich i Rusinów. Związki słowiańskich studentów na terenie praskim utworzyły zrzeszenia pod nazwą „Národní Svaz Slovanské Mládeze". Celem tego Związku jest przedewszystkiem wzajemne poznawanie i organizowanie się w celu praktycznego wykonywania i szerzenia idei wszech-

słowiańskiej. Także członkowie „Jednosci" uczestniczą pośrednio przez „Ognisko Akademików Polskich" w pracach tego Związku. Korzystając ze sposobności pragnąłbym i ja przyczynić się mojem przemówieniem do tego, by wielce czcigodni goście i licznie zgromadzona młodzież zapoznała się nieco ze sprawami śląskiemi. Pragnąłbym przedstawić w grubszych zarysach pewien odcinek życia naszego ludu polskiego na Śląsku i wskazać na rolę, jaką młodzież akademicka w tem życiu odgrywała i odgrywać winna. Podchodzę do tematu nie z punktu widzenia politycznego, lecz starać się będę ująć ten temat ze stanowiska naszej kultury ludowej, wskazując na swoiste cechy Ślązaka-Polaka.

Ciekawy i dziwny jest ten mały skrawek ziemi śląskiej. Jego obszar obejmuje zaledwie *1273 km²*, jego ludność liczy coś ponad *310.000* dusz. Jest on krajem *olbrzymich kontrastów*. Na północy rozciąga się zagłębie węglowe jako jedno wielkie, rozłożyste miasto, zionące dymem kominów, pieców koksowych i hut. Wieczorem i w nocy płonące wielkie łuny nad zagłębiem wskazują, że to *kraj przemysłowy*, południe zaś kraju jest *sielankowo-rolnicze*, uwieńczone od strony południowo-zachodniej przepięknym Beskidem, pokrytym szumiącemi lasami i bujnemi polami. Przez środek zaś doliny Śląska przesuwa się wstęga *rzeki Olzy*, dzieląca dawny Śląsk cieszyński na część czeską i polską.

Może żaden z obszarów słowiańskich nie był narażony na tyle przejść i wstrząśnień, jak właśnie nasz Śląsk. Od czasów najdawniejszych ścierają się tu trzy narodowości t. j. *Polacy, Czesi i Niemcy*. Był czas przewagi tubylczego polskiego żywiołu na Śląsku, był czas intensywnej germanizacji przez rządy niemieckie i przemysł. Obecnie po wojnie światowej nadszedł okres wzmocnienia żywiołu czeskiego, jako następstwo przydzielenia części Śląska Cieszyńskiego do CSR. *Różne więc wpływy i prądy przewalały się nad ziemicą staropiastową.* Lecz mimo tych przeróżnych zmian i perypetyj politycznych, przechodzących od Krakowa i Warszawy na Wrocław, Pragę i Wiedeń, a obecnie odnośnie do naszej części Śląska znowu na Pragę, lud śląski pozostał *w jądrze swem* niezmieniony. Zachował przedewszystkiem swoją *mowę macierzystą*. Tutaj znowu muszę zaznaczyć, że chyba żaden *djalekt* nie był tak wszechstronnie i skrzętnie badany, jak djalekt śląski. Ze strony polskiej zajmował się nim między innymi wybitny slawista Malinowski, prof. Bystroń, pochodzący z Datyń ze Śląska, i prof. Nitsch. Ze strony czeskiej zajmowali się nim przedewszystkiem prof. Bartoś, Safarik i Sembera, z Niemców poświęcili mu swe studja: Czörnig i Hain. Ze wszystkich tych orzeczeń uczonych polskich, czeskich i niemieckich wynika, że przynajmniej 4/5 obszaru Śląska Cieszyńskiego zamieszkuje ludność, mówiąca językiem czy narzeczem polskiem. Tak się rzecz miała wówczas, gdy badania te zostały przeprowadzone. Obecnie nastąpiło przesunięcie na niekorzyść języka polskiego. *Mowa ludu śląskiego przypomina,* jak się to szczególnie da stwierdzić w górskich wioskach, *mowę Reya i Kochanowskiego.* Zawiera ona sporo archaizmów polskich. Toteż kiedy czytamy dzieła owych sławnych pisarzy polskich z XVI wieku, zdaje się nam, jakby je pisali teraźniejsi Ślązacy. Nie da się zaprzeczyć, że na pograniczu morawskiem narzecze śląskie zawiera sporo słów i zwrotów czeskich, zaś

w miastach, gdzie germanizacja znaczne zrobiła postępy, język ten zanieczyszczony jest niemczyzną.

W narzeczu swem lud śląski stworzył sobie dużo pieśni, powiastek i bajek. Pieśni i gawędy te zbierał skrzętnie między innymi notarjusz w Cieszynie Dr. Cinciała, wydając je drukiem, z czeskiej strony zbierał pieśni ludowe Franciszek Slama, sędzia w Cieszynie. Z łona ludu śląskiego wyszło sporo *pieśniarzy*, opiewających w prostych ale pełnych uczucia słowach jego dolę i niedolę, krasę i piękność ziemi śląskiej. Z nich wybił się na pierwszy plan niedawno zmarły Jan Kubisz, nauczyciel w Gnojniku, dalej Jan Łysek, także nauczyciel, który jako legjonista padł w czasie wojny światowej. Z nowszych autorów mamy Morcinka, nauczyciela pochodzącego z Karwinej, którego „Wyrąbany chodnik" zyskał w Poznaniu na konkursie literackim w r. 1931 pierwszą nagrodę, dalej Adolfa Fierlę z Orłowej, którego powieść p.t. „Ondraszek" oraz trzy tomiki poezyj regjonalnych krytyka przyjęła z wielkiem uznaniem. Pozatem mamy jeszcze szereg innych mniej lub więcej znanych pisarzy. Lud śląski ma swoje piękne i barwne stroje szczególnie w okolicach Cieszyna, gdzie kobiety noszą szerokie, fałdziste suknie z kwiecistym żywotkiem i szeroką, niebieską „galonkę". Lud ma swoje *malowane trówły i półki*, różne naczynia i sprzęty domowe, które nieraz starannie i z pietyzmem przechowuje jako cenne dziedzictwo po swoich ojcach. Lud wydał z siebie malarzy, rzeźbiarzy i mężów nauki, chociaż przyznać należy, że dużo synów naszego ludu w szkołach niemieckich się germanizowało i poszło w służbę do obcych, przysparzając im nieraz chwały i sławy. Ślązak jest przywiązany do swoich zwyczajów ludowych. Do nich należą przedewszystkiem zwyczaje *weselne, dożynki, wianki, sobótki, gaiczek zielony, śmiergust i szkubaczki,* oprócz całego szeregu pomniejszych, nieraz bardzo ciekawych, związanych naprz. ze świętami religijnemi, z różnemi zabawami, tradycyjnemi obchodami i t. d. Wiele z tych zwyczajów tkwi swoją genezą w zamierzchłych czasach słowiaństwa jak np. *sobótki*. Znane są tańce śląskie jak np. *„Grożony"*, *„Zogrodnik"*, *„Kowol"*, *„Kocurek"* i *„Żebrok"*. Niestety z miarą postępu cywilizacji i t. zw. europeizacji stosunków życiowych wśród ludu zanikają powoli te śląskie zwyczaje, milknie pieśń ludowa i śląskie tańce wychodzą z mody.

Jest rzeczą nieodzowną, by zbierano te piękne zabytki niedalekiej przeszłości i ratowano je od zapomnienia. Owocną w tym kieruoku pracę rozwija t. zw. *„Zaranie Śląskie"*, kwartalnik literacki, wychodzący w Cieszynie.

Od *r. 1848*, owej „Wiosny ludów", gdy to powiew wolności dotarł i do zakątków naszego kraju, datują się początki odrodzenia narodowego Śląska. *Odrodzenie* to wyszło żywiołową siłą z łona ludu, nie było więc, jak to niektórzy twierdzą z zewnątrz importowane. Zwolna pokrył się kraj siecią organizacyj oświatowych, kulturalnych i gospodarczych. Ważną rolę w tym ruchu wyzwoleńczym odegrała ówczesna młodzież gimnazjalna i młodzież akademicka, z której wychodzili późniejsi działacze i pracownicy na niwie narodowej. W szkołach średnich w Cieszynie panowała podówczas bezwzględnie niemczyzna i duch, wrogi wszystkiemu co polskie, wogóle co słowiańskie. Odruch przeciwko temu systemowi nauki objawił się samorzutnie wśród samej

młodzieży polskiej. Stalmach, pochodzący z Bożanowic pod Cieszynem, zakłada w *r. 1842* z 20 innymi uczniami w ewangelickiem gimnazjum kółko młodzieży polskiej pod nazwą: „Złączenia polskiego". Celem jego było praktyczne ćwiczenie się w języku polskim i studjowanie literatury i historji polskiej. Od tego czasu istniały z małemi tylko przerwami w średnich zakładach w Cieszynie, później i w Bielsku tajne związki młodzieży o wyżej wymienionych celach. Najdłużej trwała „Jedność", skupiająca od *r. 1886* aż do wybuchu wojny światowej polską młodzież szkół średnich w Cieszynie. Obraz tej pracy, pełnej zapału i górnych, szlachetnych porywów młodzieńczych, nakreślił były jej członek Dr. Jan Galicz, w zredagowanej przez siebie *„Księdze Pamiątkowej"*, wydanej w Cieszynie w r. 1926.

Członkowie Jedności, rozpraszający się po ukończeniu studjów w zakładach średnich po różnych miastach uniwersyteckich dawnej Austrji, założyli w *r. 1894* Stowarzyszenie polskich akademików na Śląsku pod nazwą „Znicz" celem potrzymywania uczuć koleżeńskich, kontynuowania pracy, rozpoczętej w „Jedności" i przygotowania się do przyszłej pracy obywatelskiej.

Jak już na wstępie zaznaczyłem, powstaje na terenie Śląska, przynależnego do republiki czechosłowackiej, w *r. 1925* Związek akademików mniejszości polskiej w Czechosłowacji „Jedność", której sekcja praska dziś właśnie urządza ten piękny Wieczór śląski.

W powyższych wywodach starałem się uwypuklić środowisko, z którego nasza młodzież wyrosła i wskazać na poprzednie związki, wśród których całe generacje naszej młodzieży się wychowały. Młodzież nasza wyszła *z ludu*, z nim też *jest związana na życie i śmierć*.

Na tem tle powstaje pytanie: Jakie zadanie ma do spełnienia nasza młodzież akademicka wobec siebie i wobec społeczeństwa? Zadanie to da się wyrazić zwięźle. *Akademik* ma się przygotować przedewszystkiem do życia *samodzielnego* i ma stać się *pożytecznym członkiem społeczeństwa.* Z tych przesłanek wynika, że akademik musi się poświęcić przeważnie nauce, pracować sumiennie i z zamiłowaniem w obranej dziedzinie naukowej, by po skończeniu studjów mógł pracować wydatnie w swoim zawodzie. Nie wolno mu się rozpraszać, trwonić drogiego czasu, marnować lekkomyślnie swych sił i zdrowia. Winien on uwagę skupiać w jednym kierunku, wytężać siły do pewnego zgóry powziętego celu. Dewizą jego życia winno być hasło Marka Aureljusza: „Nulla dies sine linea", a więc wyzyskanie czasu i systematyczność w pracy.

Jednocześnie powinien pilnie baczyć na to, co się koło niego dzieje, by się zapoznać z prądami, które poruszają nowoczesne wartkie życie. Powinien w toku swej pracy naukowej brać udział w życiu akademickiem, by poznać całe to kłębowisko uczuć i sił, rozpierających szeroką pierś i wrażliwe serce młodzieży. Wśród sumiennej pracy fachowej, w ogniu szlachetnych porywów i ideałów młodości idąc śladem swych nauczycieli i wodzów swego ludu, powinien *akademik wykuwać w duszy swej te pierwiastki, które decydują o istotnej wartości każdego człowieka*, a więc charakter dzielny, głęboką moralność, *bezinteresowną ideowość, gotowość do pracy dla drugich i do wiernej służby dla społeczeństwa.*

Nasze społeczeństwo śląskie bardzo potrzebuje pracowników dzielnych, bezinteresownych i pełnych idealizmu. Wszędzie, gdzie tylko okiem rzucić, zarówno na polu kulturalnem jak i oświatowem, gospodarczem oraz politycznem odczuwamy *ich brak*. Czeka Was niemała praca. Przyłóżcie ręki do wspólnego dzieła, do podniesienia naszego ludu na wyższy poziom etyczny pomni słów Krasińskiego: „Bo cel światów — szlachetnienie". *Przeszłość naszego kraju, dzieje naszego ludu, głębie jego duszy* dotąd nie są zupełnie zbadane. Istnieją w tym kierunku fragmenty, ułamki, nie ujęte w całość. *Pieśń ludu śląskiego*, jego powiastki i gawędy, jego piękne zwyczaje i obyczaje nie są jeszcze naukowo opracowane. Jego *upodobania artystyczne*, jego przeżycia, jego tęsknoty i marzenia nie znalazły jeszcze w całej pełni zewnętrznego wyrazu, czekają na twórcę, któryby te subtelne drgnięcia jego duszy uchwycił, utrwalił na *płótnie*, lub zaklął w *poemat* lub wykrzesał w *marmurze*. Oto wdzięczne dla Ciebie, Młodzieży Śląska, pole do działania. „Miejcie tylko odwagę chcieć wielkich rzeczy", tak woła do Was jeden z prezesów Znicza.

Boć *nie wyrzekamy się własnego życia*, nie chcemy *umierać*. Ślązak, mimo ciężkich warunków, rwie się do *życia i słońca*. Tak pod względem narodowym jakoteż i umysłowym on *„jednak się rusza"*. Młodzież musi się przyczynić do tego, by ten ruch był żywszy, intensywniejszy. Stójcie twardo i hardo na straży naszego dorobku kulturalnego i życia narodowego! Za ciężką zbrodnię uważam poczynania pewnych czynników, dążących z uporem godnym lepszej sprawy do *załamania swobodnego rozwoju naszego ludu*. Drzewo złamane lub podcięte u korzenia nigdy już nie strzeli koronę swoją w górę do słońca, lecz powoli więdnie, zanika i ginie. Tak też i lud, wyparty z łożyska swego naturalnego rozwoju, odpowiadającego jego właściwym założeniom psychicznym, karleje, zamiera, traci swój swoisty charakter, traci swą duszę, przestaje być sobą, ulega rozkładowi i staje się mierzwą dla drugich, którzy przychodzą i zajmują jego miejsce.

Oprócz tych, powiedziałbym więcej lokalnych zadań ma jeszcze „Jedność" inne nie mniej ważne, poza granice Śląska sięgające zadania do spełnienia. *Jedność* styka się na terenie praskim z młodzieżą innych narodów słowiańskich. Wytwarza się pomiędzy młodymi, którzy nie są obciążeni różnemi przesądami i uprzedzeniami starszych, atmosfera szczerej przyjaźni i wzajemnego zaufania. Hasła wzajemności i współpracy pomiędzy narodami słowiańskiemi nie są dla nich pustym frazesem, lecz są pobudką do czynu. Każdy naród słowiański na wolną drogę do swobodnego, wszechstronnego rozwoju i powinien dorzucać do wspólnego skarbca swój własny, swoisty dorobek kulturalny i w ten sposób wzbogacać, pogłębiać i powiększać tak duchowe jakoteż materjalne wartości naszego wspólnego życia. W tym kierunku ma rozwijać młodzież po opuszczeniu murów uniwersyteckich żywą działalność wśród swojego społeczeństwa, zyskując sobie coraz więcej zwolenników i sprzymierzeńców, dążących do wspólnego celu t. j. do zbliżenia i do *realnej współpracy narodów słowiańskich* w imię zespalania swych sił, by mogły, połączone *wspólną ideą*, stawiać *skuteczny opór* przeciwko wszelkim *zakusom obcych żywiołów*,

czyhających na zgubę i zagładę naszych wolnych, *niepodległych państw.*

Realizując te hasła ma więc nasza Jedność za zadanie budowania pomostu pomiędzy Czechosłowacją i Polską i innemi państwami słowiańskiemi, propagując czynnie ich zbliżenie i współpracę tak na polu kulturalnem, jakoteż gospodarczem i politycznem.

Żywimy niezłomną nadzieję, że praca, podjęta szczerze w imię tych szczytnych haseł, nie pójdzie na marne, lecz doprowadzi wreszcie do zespolenia się wolnych państw słowiańskich celem uzyskania jak największej mocy, potęgi i siły, którąby była respektowana należycie nie tylko na arenie polityki europejskiej, ale by ich głos był także słyszany w koncercie światowym. Zaś praca ta, prowadzona w zakresie tych myśli i dążeń tak przez Jedność jakoteż przez analogiczną organizację czeskiej młodzieży akademickiej ze Śląska „Spolek akademiku Tesinska" wyda także na odcinku Śląska oczekiwany owoc. Przyczyni się w wielkiej mierze do łagodzenia starć i niesnasek, które dotąd jeszcze u nas na Śląsku zakłócają nieraz zgodne współżycie pomiędzy ludnością polską i czeską, rzucając niepożądane cienie i poza granice naszej republiki.

Na zakończenie wyrażam gorące życzenia, by dzisiejszy „Wieczór Śląski" stanowił jedną cegiełkę we wznoszonej budowie gmachu lepszej i jaśniejszej przyszłości naszych wolnych, ściśle ze sobą związanych państw słowiańskich.

Z życia Polaków zagranicą

Francja

Rada Porozumiewawcza Związków Polskich we Francji — rezolucja w sprawie dostępu Polski do morza.

Zebrani czołowi przedstawiciele związków polskich we Francji na zjeździe Rady Porozumiewawczej w Lille dnia 30 kwietnia r. b. stwierdzają:

a) że swobodny i pewny dostęp Polski do morza stanowi zasadniczy i nieodzowny warunek istnienia niepodległości Państwa Polskiego,

b) że Pomorze było i pozostanie ziemią rdzennie polską, zamieszkałą w 90% przez Polaków,

c) że wszelkie próby pozbawienia Polski jej obecnego dostępu do morza stanowiłoby pogwałcenie najbardziej elementarnych zasad sprawiedliwości i samookreślenia narodów oraz godziłoby w byt niepodległego Państwa Polskiego, którego zgórą 32-miljonowa i stale wzrastająca ludność zostałaby przez utratę Pomorza zrujnowana i oddana w niewolę gospodarczą czynników obcych, co w konsekwencji ugodziłoby w niezależność polityczną Polski,

d) że Pomorze wraz z Gdańskiem pod względem historycznym, etnograficznym i ekonomicznym stale było związane z Polską,

e) że Pomorze Polskie, dotykające do morza, podczas długich wieków, oddzielało mały skrawek Prus Wschodnich od reszty Niemiec i obecny, t. zw. „korytarz" jest tylko powtórzeniem historji; Prusy Wschodnie mogą komunikować się swobodnie z Rzeszą Niemiecką, korzystając z wolności tranzytu przez Polskie Pomorze oraz drogi wodnej.

Z uwagi na powyższe zebrani ślubują imieniem swych organizacyj stać na straży wiernie i czujnie bronić świętych praw Polski do morza oraz przeciwstawić się w sposób jaknajbardziej stanowczy wszelkim prądom i tendencjom, zmierzającym do zaspokojenia imperjalizmu niemieckiego kosztem najżywotniejszych i najistotniejszych interesów Polski.

Lille, dnia 30 kwietnia 1933 r.

Związek Robotników Polskich (—) Stefan Rejer — prezes. Federacja Byłych

Wojskowych (—) Franciszek Bratek-Kozłowski — prezes. Związek Sokolstwa Polskiego (—) Andrzej Szałkowski — prezes. Związek Tow. im. Piłsudskiego (—) Kołczak — prezes. Związek Strzelecki (—) Aleksander Lisiewicz — prezes. Związek Towarzystw Teatralnych (—) Władysław Jędrzejewski — prezes. Związek Kupiectwa Polskiego (—) Jan Roskosz — prezes. Związek Nauczycielstwa Polskiego (—) Siekierzyński — prezes. Związek Kół Piłki Nożnej (—) Stefan Domagalski — prezes. Komisja Organizacyjna Związku Komitetów Towarzystw Lokalnych (—) Szymanowski Józef — prezes. Związek Harcerstwa Polskiego (—) Michał Gembarski — prezes. Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet (—) Anna Gopleul-Birop — przewodnicząca.

Kronika Rady Organizacyjnej

Kurs dla kandydatów na nauczycieli polskich zagranicą

Rada Organizacyjna Polaków z Zagranicy urządza od 2 — 30 lipca r. b. na Pomorzu drugi kurs wakacyjny dla kandydatów na nauczycieli polskich zagranicą.

Program kursu obejmuje następujące zagadnienia:

a) ideologja i struktura środowisk polskich zagranicą,
b) szkolnictwo polskie zagranicą,
c) metody pracy oświatowo-społecznej,
d) sport i wychowanie fizyczne,
e) teatr, chóry i t. p.

Od kandydatów (ek) na kurs wymaga się:

a) dobrego stanu zdrowia i sprawności gimnastyczno-sportowej,
b) pełnych kwalifikacyj nauczycielskich,
c) przynajmniej 8-letniej praktyki w szkołach powszechnych,
d) uzdolnień w zakresie pracy pozaszkolnej,
e) zamiłowania do pracy społeczno-organizacyjnej,
f) wieku od 22 do 38 lat.

Pozatem pożądana jest znajomość języka francuskiego lub niemieckiego, jak również wykazanie się dotychczasową pracą w organizacjach oświatowych i wychowawczo-ideowych (Zw. Harcerstwa Polskiego, Zw. Strzelecki i t. p.).

Opłata za kurs wynosi 10 zł., płatnych w dniu rozpoczęcia kursu, koszty wspólnego mieszkania wraz z utrzymaniem wyniosą około 75 zł. za cały pobyt na kursie.

Podania o przyjęcie na kurs, zaopatrzone życiorysem kandydata, opinją władzy przełożonej, wzgl. instytucyj społecznych, należy kierować pod adresem Rady Organizacyjnej Polaków z Zagranicy — Warszawa, Al. Ujazdowskie 37 m. 7 (tel. 8-75-79) do dnia 5 czerwca r. b.

Kandydaci, przyjęci na kurs, otrzymają do dnia 15. VI. r. b. osobne zawiadomienie wraz z niezbędnemi informacjami.

Pierwsze zebranie sekcji „książki" Komitetu Wychowania Narodowego Młodzieży Pol. z Zagranicy

W dniu 9 b. m. odbyło się zebranie organizacyjne sekcji „książki" Komitetu Wychowania Narodowego Młodzieży Polskiej z Zagranicy przy Radzie Organizacyjnej Polaków z Zagranicy. Obrady zagaił prezes Komitetu, dyr. Wiktor Ambroziewicz, poczem przewodnictwo obrad powierzył przewodniczącemu sekcji, wiz. Zbigniewowi Lepeckiemu, ktory z kolei wygłosił referat, poświęcony programowi prac sekcji. Po referacie rozwinęła się ożywiona dyskusja, w której m. in. zabierali głos: dyr. St. Lenartowicz, dr. Fr. Burdecki, dr. J. Zaremba, kurator J. Namysł, prof. dr. K. Górski, prof. dr. T. Wałek-Czarnecki, dyr. W. Ambroziewicz oraz referent. W wyniku dyskusji postanowiono wyłonić 2 podsekcje: programową oraz wydawnictwa książek.

W skład prezydjum sekcji poza wspomnianym wyżej przewodniczącym— Zbigniewem Lepeckim, weszli: jako wiceprzewodniczący — nacz. Jan Lipka, jako sekretarz — prof. Kazimierz Drągowski. Kierownictwo podsekcji pro-

gramowej objęli: prof. dr. Górski i dr. F. Burdecki. Podsekcję wydawnictwa książek będzie prowadził sam przewodniczący sekcji.

Z sekcji szkolnej Komitetu Wychowania Narodowego Młodzieży Polskiej z Zagranicy

Dnia 9 b. m. odbyło się drugie z kolei posiedzenie sekcji szkolnej Komitetu Wychowania Narodowego Młodzieży Polskiej z Zagranicy przy Radzie Organizacyjnej Polaków z Zagranicy. Zebranie poświęcone było głównie referatowi wybitnego znawcy zagadnień szkolnictwa polskiego zagranicą, p. d-ra Eugenjusza Zdrojewskiego, który mówił na posiedzeniu o szkolnictwie tem na naszych terenach mniejszościowych. dalszą część obrad wypełniły sprawy organizacyjne sekcji, a w szczególności stan pracy podsekcji opieki szkół polskich w kraju nad szkołami naszemi zagranicą.

Eksponaty Rady Organizacyjnej Polaków z Zagranicy na wystawę w Chicago

Rada Organizacyjna Polaków z Zagranicy wysłała na wystawę w Chicago szereg eksponatów własnych oraz eksponatów organizacyj z nią współpracujących, a mianowicie: Ligi Morskiej i Kolonjalnej, Tow. Opieki Kulturalnej nad Polakami zamieszkałymi zagranicą im. Adama Mickiewicza, Stow. „Opieka Polska nad Rodakami na Obczyźnie" i Tow. Wydawnictw Popularnych i Bibljotek dla Wychodźców im. Józefa Okołowicza oraz Związku Studenckiego. Pomiędzy eksponatami Rady Organizacyjnej znalazły się m. in. tablice, przedstawiające: naczelne organizacje polskie zagranicą, współdziałanie Rady Organizacyjnej z Polonją amerykańską, dyplomy i świadectwa Rady Organizacyjnej, wydawnictwa Rady Organizacyjnej, oraz barwne zestawienie p. t. „Co robiła Rada Organizacyjna dla młodzieży polskiej na obczyźnie".

Delegat Rady Organizacyjnej Polaków z Zagranicy na XIII Zjeździe Walnym Związku Harcerstwa Polskiego

Rada Organizacyjna Polaków z Zagranicy wydelegowała w charakterze swego przedstawiciela na XIII Zjazd Walny Związku Harcerstwa Polskiego zastępcę dyrektora Biura Rady, p. Tomasza Piskorskiego, który podczas inauguracji Zjazdu wygłosił przemówienie powitalne. Należy zaznaczyć, że sprawy harcerstwa polskiego zagranicą były niejednokrotnie poruszane tak w sprawozdaniach, jak również w czasie dyskusji zjazdowej. M. in. specjalny ustęp swego sprawozdania poświęcił temu zagadnieniu przewodniczący Związku, wojewoda dr. Michał Grażyński, który podkreślił zarazem harmonijną współpracę w tym zakresie między Związkiem Harcerstwa Polskiego a Radą Organizacyjną Polaków z Zagranicy.

Zebranie podsekcji opieki szkół krajowych nad szkołami polskiemi zagranicą

Wyłoniona przez sekcję szkolną Komitetu Wychowania Narodowego Młodzieży Polskiej z Zagranicy podsekcja opieki odbyła swe pierwsze posiedzenie w dniu 19 maja r. b., pod przewodnictwem dyr. Stanisława J. Paprockiego. Zadaniem tej sekcji jest roztaczanie opieki szkół krajowych nad szkołami polskiemi zagranicą, a przedewszystkiem ułatwianie nawiązywania kontaktu korespondencyjnego między młodzieżą szkolną u nas a młodzieżą, uczęszczającą do szkół polskich zagranicą. Na posiedzeniu omówiono szczegółowo program pracy podsekcji, metody działania oraz zasięg całej akcji. Obecni na posiedzeniu przedstawiciele Kół Młodzieży Polskiego Czerwonego Krzyża oraz Stowarzyszenia „Opieka Polska nad Rodakami na Obczyźnie" podzielili się z zebranymi swemi uwagami na temat doświadczeń tych organizacyj w zakresie wymiany liścików między młodzieżą. Prezydjum podsekcji stanowią: dr. Bronisława Brunerówna, nacz. Witold Langrod oraz Cecylja Kuncewiczowa.

TREŚĆ

Redaktor: Bohdan Lepecki Wydawca: Stefan Lenartowicz

Druk. Społeczna „Zrzeszenie drukarzy“ Pl. Grzybowski 3/5